Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1878. Rok I.

ŁOWIEC

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

PRZEDPŁATA
półroczna . zlr. 2·50
roczna . . „ 5·—

Członkowie Towarzystwa odbierają bezpłatnie.

Sprawy Towarzystwa Łowieckiego.

Dnia 13. Października r. b. odbędzie się w sali Towarzystwa kredytowego o godzinie 12 **walne zgromadzenie członków Towarzystwa łowieckiego.**

Porządek dzienny:

1. Sprawozdanie wydziału.
2. Wniosek względem wydawnictwa czasopisma „Łowiec".
3. Zmiana statutów.
4. Wnioski członków.

Z Wydziału Tow. łowieckiego.

Do grona Tow, przystąpili: Lekczyński Czesław, Sapieha Jan Paweł, książę, Ubysz Edward.

GOSPODARSTWO RYBNE KRAJOWE,

PRZYCZYNY JEGO NĘDZNEGO STANU I ŚRODKI ZARADCZE

PRZEZ

Dra SZYMONA SYRSKIEGO.

Jak wiadomo, gospodarstwo rybne dzieli się na gospodarstwo w wodach otwartych, jako to: w strumiemieniach, rzekach i rozległych jeziorach z dopływem i odpływem strumieni lub rzek, będące gospodarstwem wspólném t. j. należącem do muiejszej lub większej liczby uprawnionych, i na gospodarstwo w wodach zamkniętych, jako to: w sadzawkach, stawach, i w mniejszych jeziorach, które jest gospodarstwem osobistem czyli prywatnem, należącem do jednego uprawnionego. Tak jedno jak i drugie bywa prowadzone albo nieumiejętnie, niedbale, bezmyślnie, w celu tylko chwilowego zysku, albo też z całą świadomością rzeczy i gorliwie; pierwsze gospodarstwo nazywają dzikiem, będącem o tyle gorszem od rolnictwa zwanego grabieżą, iż taki rybak dziki zupełnie nie użyźnia wody, jak to czyni z ziemią przynajmniej w części drapieżny rolnik, nie dostarcza wodzie nasienia, ale je nawet niszczy, i zbiera zwykle płód niedojrzały, co drapieżny rolnik tylko przyciśnięty dokuczliwym głodem zwykł czynić, drugie zaś gospodarstwem umiejętnem czyli racyonalnem.

Dzikiem gospodarstwem jest u nas bez wyjątku gospodarstwo w wodach otwartych, czyli gospodarstwo wspólne, gdzie każdy, kto chce, gdzie chce, kiedy chce, jakiem narzędziem chce, i o ile chce, wyzyskuje wody, wzruszając i burząc łożyska, gdzie ryby składają swe jaja, mordując ryby dojrzałe w czasie ich rozrodu. a z niemi niszcząc tysiące jaj i młodych, niszcząc następnie złożone jaja i młode, nie dozwalając im, aby nagromadziły w swych ciałach obfitość mięsnego pokarmu dla tysięcy głodnych ludzi; o pomnożeniu zaś ryb lub ich pokarmu nikt ani pomyśli. Jest to więc oczywiście gospodarstwo, w którem naszym rybakom tacy Negritos i im podobni, jako nie posiadający tyle zmyślności i wytrwałości w niszczeniu, a może też mający więcej zdrowego rozsądku i przezorności, wyrównać nie mogą.

Nie wiele więcej umiejętnie bywa w ogóle prowadzone gospodarstwo rybne w wodach zamkniętych. Wprawdzie zmusza często właścicieli tych wód już samo zamknięcie wody do pozostawienia przy wyłowieniu stawu jakiejś ilości ryb do rozpłodu, atoli nie troszczą się oni, z nie licznemi

wyjątkami, bynajmniej o to, czy to są czerstwe, zdrowe rozpłodniki, czy ich nie za wiele, lub nie za mało na pewną przestrzeń stawu, a nawet nie mają najmniejszego pojęcia o tem, czy ryba trzymana w stawie nadaje się do jakości gruntu, do właściwości wody, czy ma w niej poddostatkiem pokarmu, i znajduje odpowiednie miejsca do złożenia swych jaj, czy nie ma szkodliwych zwierząt wodnych, pożerających młode ryby, czy ryb nie za wiele lub nie za mało, czy w zimie z powodu utrudnionego przystępu powietrza, nie duszą się ryby pod lodem, lyb w ogóle nie cierpią na swem zdrowiu, co wstrzymuje ich rozwój, i wpływa niekorzystnie na ich potomstwo. Nie dziw też, że przy tej nieznajomości rzeczy, wszystkiego oczekują tylko od opatrzności, spędzając na nią także wszelkie niepowodzenia, które właściwie swemu nieuctwu i gnuśności przypisać powinni.

W nie wielu tylko miejscowościach, szczególniej na zachodnim krańcu naszego kraju, stoi gospodarstwo rybne stawowe prawie na równi z gospodarstwem stawowem krajów najwięcej postępowych, i przynosi też odpowiednie temu korzyści. Wybierają tutaj starannie czerstwe i zdrowe rozpłodniki, dając ich tylko pewną liczbę na pewien obszar stawu, przygotowują miejsca stosowne do złożenia jaj, podają rybom pokarm, jedni gnój bydlęcy, inni owczy, a jeszcze inni koński, starają się o wyniszczenie w stawie szkodliwych rybom zwierząt, i o użyźnienie go za pomocą wysuszania i zasiewu roślinami pastewnemi, powtarzanego co kilka lat i trwającego przez 2 do 3 lat. Do wychowu ryb przeznaczają zwykle cztery i więcej stawów, mianowicie jeden rozpłodowy, przynajmniej dwa odrostowe i dwa główne, z których zwłaszcza pierwsze bywają płytkie, letnie, z kąd ryby przenoszą na zimę do stawów głębokich zimowych, tak zwanych zimochowów. Jedni dają więcej, drudzy mniej ryb na jedność obszaru stawu, jedni radzą ze względu na utratę ryb chować je przez 3 do 4 lat, inni przez 5 do 6.

W całem więc tem postępowaniu widać niepewność; nikt dotąd nie przedsięwziął porównawczego chowu ryb, z kredką w ręku, jak to zwykł czynić ścisły badacz przyrody, ażeby ostatecznie powiedzieć: te a te ryby, w tych a tych okolicznościach i warunkach dają te a te wypadki, a przyczyną tego jest oczywiście ta okoliczność, iż zajmujący się gospodarstwem rybnem nie są przyrodnikami, czem przecież koniecznie być powinni, wszakże to ich warsztat.

Główną tedy przyczyną obecnego stanu gospodarstwa rybnego w wodach zamkniętych jest nieznajomość budowy i czynności fizyologicznych organizmu, tudzież warunków życia ryb; powodem zaś nędznego stanu gospodarstwa rybnego w wodach otwartych jest także ta sama nieznajomość, a przytem jeszcze następujące:

1. Połów ryb bez przerwy przez cały rok przez wszystkich i wszędzie, bez żadnego względu na czas rozrodu i młodość ryb.

2. Połów szkodliwemi narzędziami, mianowicie gęstemi sieciami, i używanie szkodliwych, całe masy młodych i dorosłych ryb zabijających środków, jakiemi są trutki, wybuchające patrony dynamitowe i t. d.

3. Bezwzględne niszczenie lasów i roślinności w ogóle, a przez to zmniejszenie ilości wód i drobnych zwierząt, przebywających w zaroślach, których ciała, zwłaszcza martwe, opłukiwane przez wodę deszczową i prowadzone do strumieni i rzek, służą rybom za pokarm.

4. Zanieczyszczanie strumieni i rzek zabójczemi ściekami z fabryk, z dołów, w których moczą konopie i t .d.

5. Zaniedbanie wszelkich środków ułatwiających rozmnażanie ryb, jako to: urządzania miejsc odpowiednich do złożenia jaj, dawania wyrobionych rozpłodników do wód, lub narybku, ochrony młodych rybek od innych ryb żarłocznych i szkodliwych zwierząt wodnych, jak n. p. chrząszczy wodnych, kaczek i t. d.

6. Zawody i straty, jakich doznali niektórzy właściciele wód ze strony rybaków samozwańców, narzucających się im do urządzenia gospodarstwa stawowego.

7. Wreszcie nierównie liczniejsze zawody i dotkliwe straty, doznawane codzień przez właścicieli wód z ich własnej winy, wynikające ztąd, iż nie tylko znaczna ich część nie zna sama przyrody, ale na domiar złego przyjmuje do pomocy, a nawet samodzielnego zarządu wód i w ogóle gospodarstwa wiejskiego zwykle ludzi, nie mających o niem najmniejszego wyobrażenia.

Jak niedostatek gruntownych przyrodniczych wiadomości jest u nas głównym powodem niskiego stanu gospodarstwa rybnego, i w ogóle całego gospodarstwa wiejskiego, a nawet innych gałęzi praktycznego zajęcia i wynikającej ztąd nędzy naszej materyalnej i idącej za nią nędzy moralnej znacznej części naszego społeczeństwa, tak niewątpliwie przyczyną tego niedostatku wykształcenia przyrodniczego jest niewłaściwy kierunek nauki naszej młodzieży tak w szkołach ludowych i średnich, jako też na uniwersytecie. Z pominieniem na teraz szkół ludowych i średnich, na które zresztą, jak wiadomo, uskarzają się powszechnie, iż młodzież pomimo jej obciążenia nad siły, wynosi z nich bardzo małe korzyści, niech posłuży do ocenienia stanu naszego uniwersytetu następujące porównawcze zestawienie dat odnoszących się do tego przedmiotu, dorywczo, bez wyboru zebranych z kilku obcych i naszego uniwersytetu:

Nazwa uniwersytetu	Wydział teologiczny	Wydział prawny	Wydział medyczny	Wydział filozoficzny
Gryfija (Greifswald)	43	73	218	126
Tybinga	323	256	222	145
			med. i przyr.	filol. lit.
Marburg	51	85	med. 100	filoz. 179
Wrocław	101	432	168	552
Królewiec	42	174	134	305
Upsala	331	145	181	713
Lwów	214	571	0	126

Dosyć jest rzucić okiem na podane tu cyfry wykazujące, iż u nas liczba (571) słuchaczów wydziału prawnego ma się do liczby (126) słuchaczów całego wydziału filozoficznego blisko w stosunku, jak 5 do 1, gdy przeciwnie po innych uniwersytetach mają się te liczby do siebie wprost w stosunku odwrotnym, którego wykładnik zwiększy się jeszcze więcej, jeżeli się doda do wydziału filozoficznego tych uniwersytetów wydział medyczny jako przyrodniczy, a dreszcz przejmuje na samą myśl, ile to szkody przyniesie krajowi wynikający koniecznie ztąd proletaryat urzędniczy, adwokacki i tak zwanych gospodarzy wiejskich prawników, w jednym i drugim względzie coś jak *lucus a non lucendo*, skoro tacy, jak doświadczenie uczy, licho gospodarują, a nie mówiąc już nic o procesach, prostą nawet sprzedaż, rzadziej kupno majątku, powierzają adwokatowi lub faktorowi. Nie tyle atoli należy tu winić synów właścicieli wiejskich, ludzi młodych, niedoświadczonych, nie przewidujących wszystkich następstw ztąd wynikających, ile raczej tych rodziców, którzy zamiast zwrócić swych synów na drogę realnej, tyle umysł rozwijającej pracy, jaką jest poznawanie przyrody, tej ich przyszłej

pracowni i warsztatu, odwodzącej od zboczeń życia młodzieńczego i przygotowującej ich do przyszłego zawodu, wskazują im drogę prawa, jakby w złowrogiem przeczuciu, iż będą źle gospodarować, i zmuszeni bronić się w obec sądów przeciw swym wierzycielom, chociaż ta obrona odbywa się, prawie bez wyjątku, nie przez nich samych, lecz przez anioła stróża, adwokata. Jeżeli zaś ta spekulacya rodziców ma na tem polegać, iż zmierzają do tego, aby ich synowie zajęli kiedyś godności poselskie lub inne ztąd wynikające, to i w tem bardzo się mylą, nigdy oni bowiem na drodze prawnych dowodów i syllogizmów nie dorównają adwokatom, jak na odwrót adwokaci nigdy nie zastąpią ludzi fachowych, znających swój przedmiot nie z sofizmów, ale z poglądu.

Poznawszy tak proste, dla każdego widoczne przyczyny nędznego stanu naszego gospodarstwa rybnego, to jest gospodarstwa dzikiego, jakiemi są niedostatek ustawy nadzoru i nieznajomość przedmiotu, zna się już tem samem i środki zaradcze. Potrzeba więc będzie w celu podniesienia gospodarstwa rybnego w wodach otwartych:

1. uporządkować za pomocą ustawy rybniczej prawa własności wód i wzajemne stosunki właścicieli wód do siebie i do osób trzecich;

2. zabronić surowo gospodarki dzikiej, t. j. wyżej wymienionego sposobu połowu, narzędzi szkodliwych i t. d.

3. nakazać ochronę ryb młodych w czasie rozrodu, zarybianie wód wyrybionych i t. d.

3. ustanowić surowe kary na przestępstwa i zaniedbania.

5. urządzić nadzór i kierownictwo w prowadzeniu umiejętnego gospodarstwa rybnego.

6. zmienić dotychczasowy kierunek nauczania po szkołach ludowych i innych w ten sposób, aby zaznajomić młodzież z rybami, ich życiem i warunkami tegoż życia, co dzisiaj jest zupełnie zaniedbywane.

Tak więc na rozwój gospodarstwa rybnego w wodach otwartych muszą głównie wpływać władze ustawodawcze i inne publiczne; gdy przeciwnie podniesienie gospodarstwa rybnego w wodach zamkniętych, obok wpływu za pomocą odpowiedniej nauki po szkołach, zależy prawie wyłącznie od samych właścicieli wód. Mają więc oni sami starać się o poznanie przyrody, i przyjmować do pomocy i zarządu tak w gospodarstwie wodnem, jak w ogóle w gospodarstwie wiejskiem, nie tak jak to czynią zwykle dzisiaj, ludzi po większej części bez wykształcenia przyrodniczego, albowiem biegłość w puszczaniu krwi koniowi, dawanie mu na przeczyszczenie, a nawet znajomość pary tuzinów użytecznych i szkodliwych owadów, nie stanowi wcale jeszcze wykształcenia przyrodniczego, ale gruntownych znawców przyrody, tej ich pracowni i tego warstatu, powtarzam to z naciskiem po raz trzeci, którego tylko umiejętne użycie zapewnić może ich własny i byt narodu. Niechaj tylko kilku obywateli przyjmą do gospodarstwa wiejskiego jako praktykantów młodych ludzi, którzy ukończyli nauki przyrodnicze na uniwersytecie, a przekonają się wkrótce i dobitnie, jak wielka zachodzi różnica w działalności i jej skutkach między takim pomocnikiem, znającym gruntownie przyrodę a zwykłym nieukiem, empirykiem, a otwierając w ten sposób nowe pole użytecznej działalności dla naszej młodzieży, zachęcą do czynności w tym kierunku, ułatwiając sobie przez to coraz lepszy wybór swych pomocników i zastępców, a pociągając innych współobywateli za sobą, przysłużą się wielce krajowi.

Jak głównym warunkiem podniesienia gospodarstwa rybnego w wodach zamkniętych, zwłaszcza większych rozmiarów, jest gruntowne wykształcenie przyrodnicze, tak znowu dla usunięcia gospodarki dzikiej z wód otwartych, a zaprowadzenia i rozpowszechnienia gospodarki rybnej umiejętnej pomiędzy ludem, nieodzownym jest ścisły dozór i przewodnictwo w tej gospodarce. W tym celu powinien być podobnie jak to uczyniono już w innych krajach, ustanowiony komisarz czyli inspektor rybniczy, mający do pomocy pewną liczbę dozorców, lecz nie przesiadujący w biurze, ale będący ciągle w ruchu, w podróży po kraju, prowadząc życie koczownicze, dozorując, nauczając i wprowadzając do dzieła.

Zanim atoli nastąpi jedno i drugie, podaję tutaj już teraz dla gorliwych przynajmniej niektóre wskazówki ogólne urządzenia gospodarstwa rybnego w wodach zamkniętych, już to dla przygotowania ich do czynności, owej błogiej dla gospodarstwa rybnego chwili, już też dla pobudzenia ich do zajęcia się niem już w obecnej chwili.

Gospodarstwo rybne w wodach zamkniętych rozdziela się stosownie do wielkości obszaru wody na gospodarstwo sadzawkowe i stawowe.

Gospodarstwo sadzawkowe. To gospodarstwo rozpowszechnione w Chinach, i przynoszące tamtejszej, zwłaszcza biedniejszej ludności znaczne korzyści, polega na tem, iż w małych sadzawkach, wynoszących często nawet tylko kilka metrów przestrzeni, nawet z wodą stojącą, dają rybom za pokarm różne tak zwane odpadki i nieczystości, jakie u nas zwykle wyrzucają do ścieku, a nawet rośliny, wychowują już w przeciągu jednego lata okazy dochodzące do 1 kil. wagi. U nas nadają się do podobnego chowu liny, karasie i karpie. W tym celu dosyć jest wykopać sadzawkę, obejmującą choćby kilka metrów przestrzeni, wyłożyć ją nieprzepuszczalną gliną i dobrze obić, zasadzić roślinami przy brzegach, napełnić wodą z pobliskiego strumienia, rzeki, a nawet wodą deszczową, zarybiać co rok w kwietniu lub maju zakupionym za bezcen od rybaków lub z większych gospodarstw narybkiem, i karmić je 1 do 3 razy dziennie, a nawet rzadziej różnemi odpadkami i nieczystościami.

Gospodarstwo stawowe. Jest to gospodarstwo rybne, obejmujące większy obszar wody zamkniętej, wynoszącej przynajmniej około $^1/_4$ hektara, t. j. blisko pół morga. Mając na gruncie jakiekolwiek zagłębienie, zwłaszcza mokre, nie dające się uprawić pod zasiew, należy je wyrównać i zamienić w staw rybny, napełniony bodajby wodą, pochodzącą ze ścieków przyległego pola, zarybiając go zakupionym narybkiem lina, karasia lub karpia i wyławiając co 3 do 4 lat.

Moczary obszerne potrzeba dla ułatwienia zarybienia i wyłowu ryb wyrównać i podzielić częścią groblami, a częścią płotami, złożonemi z kołów i ze trzciny, na mniejsze przestrzenie.

Posiadając staw z wodą czystą przepływającą, nadający się tak do chowu jak i do rozrodu ryb, dosyć jest po każdem wyłowieniu ryb dorosłych 4 do 5 letnich, pozostawić pewną liczbę jako rozpłodniki, a mając prócz tego oddzielną sadzawkę, w takim razie wyławia się ze stawu w czasie rozrodu t. j. od czerwca do sierpnia kilka par, t. j. samice (ikrzaki) i samców (mleczaki), które się daje do sadzawki, a przesadza w jesieni na zimę do wyłowionego stawu.

Kto zaś pragnie umiejętnie prowadzić gospodarstwo stawowe, ten powinien posiadać przynajmniej cztery stawy, zamknięte należycie groblami i zaopatrzone przy spuście za pomocą szczelnie zamykającej śluzy. Ich głębokość ma wynosić $^1/_2$ do 1 metra (około 3 stóp), a w $^1/_5$ części przy spuście 2 do 3 metrów, zwanej dla tego głębiną lub oborą

rybną, i służącą dla ryb za miejsce zbiorne do przezimowania. Rozmiary tych stawów, z których jeden jest tak zwany rozpłodowy, dwa odrostowe, a jeden główny, mają się mieć do siebie, jeżeli się chce w nich wychować ryby młode, otrzymane z rozpłodników w stawie rozpłodowym, w stosunku jak 1 : 4 : 4 : 8. — Do stawu rozpłodowego daje się w kwietniu na 1 hektar ($1^3/_4$ morgów austr.) około 8 par karpi 5 do 6 letnich, dających przynajmniej 80 kóp młodych, z których pozostaje, po utracie przez lato około 15 kóp, pożartych przez szkodliwe zwierzęta, lub zaginionych z głodu, 65 kóp narybku. Przesadzając ten narybek, lub przeprowadzając go z wodą w jesieni do drugiego stawu odrostowego, przypada na jeden hektar tego stawu około 16 kóp młodych. Przesadzając ryby drugiego roku w jesieni do drugiego stawu odrostowego, a trzeciego roku do stawu głównego, i wyławiając je czwartego roku w jesieni, otrzyma się po corocznej utracie około 12, 5 i 3 kóp, 48 kóp ryb dorosłych $3^1/_2$ letnich.

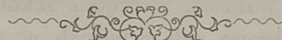
Niektórzy dają rybom i w tych stawach nawóz stajenny jako pokarm, składając kilka fur tegoż przy brzegu, a jest najlepiej uczynić to przy spuście, ażeby nieczystości łatwo odpływać mogły.

W zimie należy w stawie, zwłaszcza nad głębiną dla ułatwienia przystępu powietrza do wody, potrzebnego rybom do oddechania, robić duże przeręble, utrzymując je otwarte, co można sobie ułatwić wkładając w przerębIe wiotko związane snopy słomy tak, ażeby przez nie powietrze mogło łatwo dostawać się do wody.

Co kilka lat, t. j. co 5 lat lub więcej, w miarę zbierania się rzadkiego mułu na dnie stawu, należy go oczyścić.

Niektórzy zasiewają stawy, dające się zupełnie spuścić, naprzemian z zarybieniem trwającem 4 i więcej lat, przez 2 do 3 lat, najczęściej roślinami pastewnemi.

Oprócz linów, karasi i karpi nadają się jeszcze do chowu głównie: węgorz, szczupak, pstrąg, śliź i okuń. Węgorz młodo zakupiony i żywiony w sadzawkach z gruntem piaszczysto-mulistym, mięsnym pokarmem, dorasta znacznych rozmiarów. Szczupak żarłoczny, wymagający wiele mięsnego pokarmu, nadaje się do chowu przeważnie w wodach obszernych, chłodnych, z gruntem torfowym, nie przydatnym do chowu karpia, gdzie się znajduje wiele bezużytecznych lub szkodliwych zwierząt wodnych, jak n. p. żab, chrząszczy wodnych, albo też ryb małej wartości. Szczupak mając obfity pokarm, dorasta już w drugim roku do 2 kil. i więcej, dając w tym czasie bardzo dobre, po pstrągu najsmaczniejsze mięso. Pstrąg, którego zapłodnione jaja sprowadzają zwykle nieliczni nasi hodowcy z większych zagranicznych pstrągarni, w jesieni zaraz po zapłodnieniu, lub też pod wiosnę, gdy się w nich już oczy pokażą, po cenie 2 złr. za 1000 jaj, wymaga jako żarłoczny, nie oszczędzający nawet swych własnych młodych, do chowu oprócz przyrządu wylęgowego i koryta z przegrodami dla młodych, czterech coraz większych sadzawek z wodą źródlaną. posiadającą co najwyżej 15° C. Jaja sprowadzone w mchu wilgotnym wykłada się za pomocą miękkiego pęzla jedno obok drugiego, na rusztowaniu złożonem z prętów szklannych, odległych nieco od siebie, umieszczonem w skrzynkach, lub po prostu w korycie na drobnym zwirze. z przepływającą wodą. Należy codzień oglądać jaja aż do wylęgnienia młodych, to jest przez 6 do 8 tygodni aż do lutego lub marca, i wyjmować szczypczykami białe jaja, jako dotknięte pleśnią, udzielającą się łatwo drugim jajom. Wylęgłe młode pozostawia się w przyrządzie wylęgowym aż do zniknienia ich pęcherzów żółtkowych, t. j. przez 5 do 7 tygodni, przenosząc je teraz do koryta z przepływającą wodą, złożonego z desek szczelnie zbitych, i podzielonego siatkowatemi przegrodami, ażeby młode rybki nie gromadziły się przy ujściu, gdzie je się karmi dwa razy dziennie rozdrobnionem żółtkiem jaj kurzych, mięsem utartem, a najodpowiedniej drobniutkiemi zwierzętami wodnemi, które się otrzymuje z sadzawki obok urządzonej, zarosłej, z wodą stojącą, w której te zwierzęta szybko się rozmnażają. Niektórzy karmią je także drobnemi liszkami, wylęgającemi się w gnijącem mięsie. W sadzawkach karmi się pstrągi raz na tydzień rozdrobnionem końskiem mięsem. Konia płaci się po 1 złr. 50 ct. do 2 złr. 50 ct. Ślizy wychowują niektórzy w ten sposób, iż je dają do skrzyń drewnianych, podziurawionych, z przepływającą wodą, z dnem wysypanem piaskiem i drobnymi kamykami, a skrzynie okładają z boków nawozem owczym, zmięszanym z ziemią i dobrze ubitym. Do pierwszej skrzyni od strony przypływu wody dają w jesieni ryby dorosłe, jako rozpłodniki, następnego roku przeprowadzają młode do następnej skrzyni, a te trzeciego roku do trzeciej skrzyni, gdzie je karmią także makuchami z siemienia konopnego i t. p. Okuń jako żarłoczny, nadaje się do chowu prawie w takich samych stawach, jak szczupak.



DENISKOWICZE [1]

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

I.

Witaj wiosko ty poleska,
Gwiazdko dni dziecinnych,
Gdzie spłonęła pierwsza łezka,
Z oczu mych niewinnych.
    Tyś ta sama jak przed laty,
    Taż cerkiew z krzyżami,
    I też same kurne chaty,
    Kryte dranicami.
Jak przed laty! — jak to cudnie,
Wspomnień świeci gwiazda
Też na miejscu stare studnie,
Też bocianie gniazda.
    Też oborki w rząd stawione,
    Też gumna zapadłe,
    Toż bydełko wygładzone,
    I kundle zajadłe;
I taż barwa w koło lasów
Czarna lub niebieska,
Witaj siostro dawnych czasów
Wiosko ty poleska!

II.

Witaj domu, gdzie dzieciątkiem
Pierwszem spędził lata,

---

[1]) Deniskowicze, wieś do ordynacyi Kleckiej należąca, w najleśniejszej części powiatu Słuckiego położona i stanowiąca początek Polesia, czego dowodem jest, że chłopi sąsiadów swoich o mil parę Litwinami już nazywają.

Tyś się zdawał mi początkiem
Razem końcem świata.
Taki wielki i bogaty,
A ja taki mały,
Nawet wszystkie we wsi chaty
Przed tobą malały!
O — to pokój, gdzie za nogę
Uwiązany stałem,
Za to, że starą niebogę
Niańkę mą złajałem.
Ten drugi był cały w kwiaty
Różowe hortenzyi,
Lecz nie było w nim przed laty
Tej co dziś pretensyi . . . .
Przebrałeś się w szaty nowe
Staruszku niestety,
Meble masz palisandrowe,
Firanki z mokety.
I nie dmiesz nikomu w uszy,
Przez odwieczne szpary,[2])
Witam cię więc z całej duszy,
Przyjacielu stary!

III.

I ty także odwiedzana
Z przyjemnością wielką,
Od czterdziestu lat poznana,
Witaj mi grobelko!
Zawsze jedna i jednaka,
Poleszka zabita,
Twardym grzbietem z okrąglaka,
Niezgrabnie pokryta,
Z trzema zawsze kałużami,
I tą przerwą wielką,
I temi na mchu brzozkami,
Witaj mi grobelko!
Choć cię kocham z przyczyn różnych,
Przyznać jednak możem,
Że ty jesteś dla podróżnych
Utrapieniem bożem!
To też cię klnie w każdej porze,
Kto nie żyje prawie,
Jeden w świecie ja ci może
Tylko błogosławię!
Bom na tobie więcej zabił
Słonek, żyjąc w świecie,
Niźli boków sobie nabił,
Jadąc po twym grzbiecie,
Więcej czułem tu, że żyję
Wiarą i nadzieją,
Jak lecąc na łeb na szyję,
Żelazną koleją;
Tyś mi więcej naspiewała
Spiewem leśnych ptaków
Jak przez zimę rzesza cała
Paryskich spiewaków;
Tyś mi więcej naświeciła
Zachodami słońca,
Jak ta cała gazu siła,
W miastach pałająca;
I na tobie, mniej mnie przecie
Nagryzły komary,
Jak na wielkim Bożym świecie
Ci ludzie bez wiary!
To też jeszcze z marzeń szczyptą,
Z nadziei kropelką,
Resztką złudzeń i modlitwą
Witam cię grobelko!

IV.

Teraz witam was ostępy,
Uroczyszcza stare,
Wszak wzrok mój nie całkiem tępy,
I słuchu jest w miarę,
Popatrzymy znów na siebie,
Posłuchamy wzajem,
Pomarzymy znów o niebie
Starym obyczajem!
I wy takieście jak byli,
Ostępy poczciwe,
Małoście się odmienili,
Widno, że szczęśliwe!
Bo was nie dotknęły jeszcze
Ani topór chciwy,
Ani syczenia złowieszcze,
Tej lokomotywy,
Której misyą światło rzucać,
I przestrzenie skracać,
Ale razem świat zakłócać,
I mózgi przewracać!
Też u ciebie bór, starzyna,
Ostępie ty Hradki,
I ten mech, to nie nowina,
I te na mchu kładki,
Tylko gorsze, już je woda
Po wierzchu pokrywa,
Nie takie miał Wojewoda!
Lecz tak zawsze bywa,
Że co dawniej się zrobiło,
Dziś nie wielka sztuka,
Co u dziada z brusów było,
To z berwion u wnuka!
Znam was wszystkie po nazwisku,
Dla ucha tak miłem,
Wszak podobno na Izbisku
Niedźwiedzia zabiłem,
I znajome mi Lesiszcze,
Głuszców jak słowików,
I sławne Dziereminiszcze[3])
Z niedźwiedzi i dzików,
W Kremcach sławny tok cietrzewi,
Oj tok to nie lada!
Jak się zlecą, sam człek nie wie,
Jaka z niemi rada;

[2]) Dom ten niegdyś bardzo porządny, potem przez dzierżawy podupadły, ostatecznie wyrestaurowany przez ks. Leona Radziwiłła, zamieniony został na wygodne przytulisko myśliwskie w czasie wybornych polowań wiosną na głuszce, latem na kaczki, jesienią na jarząbki, a zimą na grubego zwierza.

[3]) Od dziere mienia, drze mnie, okrzyk, którym chłop znak daje, że go niedźwiedź drzeć zaczął, wzywający o ratunek.

Par trzydzieści tego najmniej,
Pal tylko, nabijaj,
I pal znowu, lecz przynajmniej
Samice omijaj . . . .
Słowem, o czem człek zamarzy,
Lasy, błota, kępy,
Przyjaciele moi starzy,
Witajcie ostępy!

V.

Wreszcie wy stroże tych lasów,
Witajcie mi zdrowi,
Tradycye starych czasów,
Leśnicy typowi!
Jakich Litwa tak obfita,
A zwłaszcza w tym względzie,
Tak jak długa, całkowita
Nie ma, mieć nie będzie!
Bo to wszystko od naddziadów,
Z najdalszej pamięci,
Jak plaga na złych sąsiadów,
Tak strzelcy zawzięci . . . .
Zmarli Sojki, Kowalczuki,
Lecz są na zamianę,
Ich synowie i ich wnuki,
Jak jeden dobrane . . . .
Od niedźwiedzia aż do drozda
Wszystko im wiadome,
A na puszczy każda brózda,
Każden pień — znajome . . . .
To też widzieć ich potrzeba
I słyszeć — mój Boże!
Pod obszarem wielkim nieba
O wieczornej porze,
Z fajką w zębach przy ognisku,
Gdzieś w głuszcowym stanie,
Gwarzących coś po myśliwsku
Aż lubo Mosanie!
W pierwszym zawsze siedząc rzędzie,
Stary już i siwy,
Przewodniczy tej gawędzie
Biertosz ten poczciwy,
Co niedźwiedzi trzech już ślady,
Nosi na swej skórze,
Twierdząc zawsze bez przesady,
Że niedźwiedzie tchórze,
Że stój tylko, patrz mu w oczy,
Ale stój jak wryty,
Pogniewa się, pomarmocze,[4])
I pójdzie jak zmyty.
Nie usłyszysz tam i słowa
O trudach i biedzie,
To się w sercu tam gdzieś chowa,
W ustach zaś niedźwiedzie,
Dziki, rysie, głuszce, łosie,
Polowania dawne,
Co, gdzie, kiedy, jak, stało się —
Wspomnienia zabawne . . . .

Ot na takiej proszę radzie
Stojąc na uboczy,
Przypatrz cię całej gromadzie,
Jak się iskrzą oczy,
Jak te twarze ogorzałe
Jaśnieją zapałem,
Jakie ruchy wszystkich śmiałe,
Przy spojrzeniu śmiałem!
A pociechaż nad pociechy,
Gdy zwykłą koleją
Wdadzą się w żarty i śmiechy
Otoż bo się śmieją!
Rozkosz patrzeć na tych zębów
Białych błyskawicę,
Co wśród ognia, dymu kłębów
Jak kły dzika świecą!
Oj, te zęby nie spróchniały
W kalomelu, w jodzie;
W chlebie czarnym sił nabrały
Blasku w czystej wodzie . . . .
Tak jak zęby. wszystko zdrowe,
Ręce, nogi, płuca,
Bo je życie to puszczowe
Wyrabia, ocuca.
Co te barki nie uniesą,
Gdy co dźwignąć trzeba,
Gdzie te nogi nie poniesą
O kawałku chleba;
Co to nie dopatrzy oko,
Nie dosłyszy ucho,
Kiedy przyjdzie się osoką
Zająć w zimę głuchą!
Oj z takimi ludźmi panie
Czy zimą na wiei,
Czy w głuszcowym jak dziś stanie,
Lecz pozwól żyć w kniei,
Z wiosną w duszy i na niebie,
W sercu, na około,
A o suchym nawet chlebie
Będzie mi wesoło;
Wszystko nasze w ręku Boga
Nie traćmy nadziei,
Dziś drużyno strzelców droga
Witaj mi z kolei!

VI.

Tak witajcie mi pamiętne
Dziecinnych dni świadki,
Lasy, błota, puszcze smętne,
Wy poziome chatki,
I ty ludu takiż dziki,
Jak w koło przyroda,
Smętny jak te mogilniki,[5])
Cichy jak ta woda . . . .
Wyście kiedyś mi starczyli
Za rodzinę całą,
Na swem łonie wypieścili
Mnie, dziecinę małą,

[4]) Marmotanie, mruczenie niedźwiedzia, dąsającego się, albo też ssącego swą łapę.

[5]) W Deniszkowickich lasach dużo jest kurhanów, zwanych Tatarskimi lub Szwedzkimi, najprawdopodobniej przedchrześciańskie cmentarze.

Co dziś człekiem, już na schyłku
Życia, a młodości
Nie starł z duszy jeszcze pyłku,
Winnej wam wdzięczności;
Pyłku, co tak lekko zdobi
Wspomnień życia karty,
Póty duszę kwiatem robi,
Póki z niej nie starty!
Dość cię dotknąć, choć leciuchno
Pyłeczku ty święty,
Zostaje się z duszy próchno,
Z serca liść zeschnięty!
To też jeszcze serce moje
Czuje cię na sobie,
Gdy pomimo świata znoje,
I życie w żałobie,
Wita każdą jodłę znaną,
Każdą starą chatkę,
Każdą twarz wiekiem zoraną,
Jak ojca i matkę!
Z sosny zgniłej, co służyła
Dziś nam do ogniska,
Może kiedyś moja była
Sieroca kołyska!
Już z tej sosny być nie może
Do trumny mej deska,
Żegnam cię więc w imię Boże,
Rodzino poleska!!

Pisałem w Deniskowicach
w lutym 1862 r.

NA STEPIE

URYWEK Z PAMIĘTNIKÓW MYŚLIWCA

PRZEZ

LEOPOLDA hr. STARZEŃSKIEGO.

Kto w Przeglądzie krakowskim czytał te prześliczne
Wodzickiego „Zapiski ornitologiczne,
Ten wnet poznał, jak mistrzom mało na to trzeba,
By nić związać, co wiedzie od ziemi do nieba.
By te dostrzedz ogniwa, co przyrodę plączą,
I tak każdą istotę wreszcie z Stwórcą łączą.
On — przyrody tej badacz — jej pieśń tak rozumie,
Każdą jej tajemnicę tak podsłuchać umie.
Gdy czytasz te: „Jaskółki“ „Gołębiarze“ „Kruki“,
W życiu ptaków znajdujesz dla ludzi nauki,
Poznasz, że nic w tym świecie marnem ci nie będzie,
Dobry rolnik wygrzebie ziarno w każdej grzędzie;
Tak i w życiu myśliwca z przyrodnikiem w parze,
Skarby znajdą się pewnie na każdym obszarze, —
Tylko umieć je znaleść, w tem jest łowca sztuka,
Śledźmy tylko za nimi — a znajdzie, kto szuka.

Bracia moi! Czy znany wam obszerny, cichy,
Na głębokiem Podolu nasz step Pantalichy?
W lecie jest to bezbrzeżne, zielone przestworze,
A śród zimy prawdziwe lodowate morze;
Lecz gdy wiater jesienny już zwarzy te trawy.
Gdy na łąkach skoszonych podrosną otawy,
Gdy szafirem zakwitną stepowe budiaki,
Butne, kolcem grożące, istne zawadjaki,
Co to karać umieją dotknięcie najlżejsze
A od wszystkich kaktusów stokroć są piękniejsze
Wtedy strzelcze! dla ciebie jest otwarte pole,
Ma dla ciebie swe skarby bezleśne Podole.

Nie myśl, że cię prowadzić będą na szaraka,
Który ci przelękniony pomknie z pod budiaka,
Potem słuchy podniosłszy gdzieś zmyka przez błonia,
Jeśli jesteś charciarzem, to siadaj na konia!
Moje serce już takim gonitwom nie rade,
Za szarakiem ja stary łowiec już nie jadę.
Nie myśl też, bym cię pówiódł na łowy z biglami,
W śmierć zamęczać zająca z Albionu karłami,
Niegdyś była ponętną mi taka wyprawa,
Choć nie były to łowy — lecz pańska zabawa.
I nie dziwię się młodym, co gonią po szlakach,
Tym podolskim Anglikom, w tych zielonych frakach,
Że volblutom, halbblutom swym zrywają nogi,
Rowy skaczą, i w rudkach tak grzęzną niebogi,
Bo w powozach zazwyczaj areopag bywa,
Który na dzielność skoku i męstwo tak wpływa.
W tych powozach są oczka — ich widok szał rodzi,
Każdy skok twój przez rowy uśmiech wynagrodzi.
A to wiem z doświadczenia, jakiekolwiek męstwo
Większe w oczkach niż w skoku ma niebezpieczeństwo,
A cóż jeszcze, gdy kiedy zbyt szczęśliwą dobą
Amazonka prześliczna galopuje z tobą!
Czyż i kark skręcić wtedy, rzecz namysłu warta?
Czyż nie warto i duszę oddać w ręce czarta?
Kto w młodości tak gonił, to go dziś nie zdziwi —
Oni młodzi i dzielni — lecz to nie myśliwi!
Pomnę, co mi rzekł sąsiad mój, bardzo praktyczny,
Patrząc raz na biglowy taki zastęp liczny —
Zaraz w myśli obliczył wartość psów i koni:
„Trzy tysiące dukatów za guldenem goni!“
Naśladujem Anglików mimo kraju nędzy,
Mamy wszystko, co oni, oprócz ich pieniędzy, —
Anglik pośród narodów w tem swą wyższość czuje,
Że jest sobą — nikogo też nie naśladuje;
My przeciwnie zaś wszystkich tak naśladujemy,
A tylko Polakami zostać nie umiemy.
Gdy nam trudno w mądrości dziś być Anglikami,
Naśladujmyż ich trochę!.... choćby za biglami.
Lecz ja kontent z zwyczajów i łowów mej ziemi,
Osiwiały już strzelec — nie pojadę z nimi. —

Nie powiodę was teraz także na jeziora,
Bo to jesień i nie jest na podloty pora,
Z żniw początkiem tu możesz ich spotkać bez miary,
Wtedy Diana tu szczodrze zlewa swoje dary,
Jeśli jeszcze w dodatku rok jest dosyć słotny,
I step cały przemieni się w całun wilgotny,
Rzekłbyś, że Noe okno otworzył swej arki,
I wygonił w te miejsca wszystkich ptaków parki,
Bo na wodach się kłócą kaczęta swarliwe,
W górze jęczą, jak płaczki, znów czajki lękliwe,
A wesołe kuliki, jak dziatwa szaleją,
Z groźnych walk batalionów gwizdaniem się śmieją.

Dalej kulon stepowy dziobem trawę bada,
I coś smutnym żurawiom widać opowiada,
Czapla, jak John Bull zimna, tylko kiwa głową
Obojętna, zajęta swą sprawą gardłową. —
W bagnie kszyki, dubelty, istne sybaryty
Wysysają ze szlamu pokarm wyśmienity,
I do słońca się grzeją, dziób w błoto wciśniony,
Wszystko mają bez pracy szczęsne Lazarony.
Biegnie też drop kamionek — li na stepach znany,
Ten ptak u nas niesłusznie jest: „pardwą“ nazwany.
(Pardwa, ptak śnieżno biały — li w Alpach koczuje,
U nas tylko litewskie puszcze zamieszkuje).
W zbożu słyszysz przepiórki spiew takty bijący,
Dalej znów chrapie derkacz, jakby konający.
Nad twą głową rybitwy się gonią i kraczą,
Denuncyanty — myśliwca bytność wrzaskiem znaczą.
Nigdybyś tego ptactwa przeliczyć nie zdołał,
Rzekłbyś, że to ich wszystktch ktoś na sejm tu zwołał,
Bo w istocie masz obraz sejmu przed oczyma,
Masz krzyk, hałas, łajanie — tylko zgody nie ma.
Gdy ci wpaść śród tych zgrai spososobność się zdarza,
Nastrzelasz się — jak Niemcy do swego Cesarza.

Lecz na łowy nie takie was powiodę, bracie!
Wam trza strzelać do ptaka, którego nie znacie,
Choć i ptaszek najmniejszy sławie nie ubliża,
Wiem — prawdziwym myśliwym trza rzadkiego zwierza,
Chcę ci dowieść, że mają i te okolice
Łowy wielkie, jak gdyby na głuszce, kozice.

Siadaj ze mną! — lecz teraz nie do faetonu,
Powóz ten nie był — ręczę — sprowadzon z Albionu.
Oto wóz drabiniasty, siedzenie słomiane,
Na sztorc na nim okłoty są poustawiane,
Para małych broniaczków, parciane zaprzęgi,
A woźnicy strój składa się z chłopskiej siermięgi,
Brać nie możem ze sobą w liberyi stangreta,
Do tych łowów nie zgodna taka etykieta —
Bo zwierzynę, o którą nam idzie, chcąc dostać.
Musim na to koniecznie przybrać chłopów postać.
Ta zwierzyna wie, w stanach jaka jest różnica,
Chłopa lubi — nie cierpi ze strzelbą szlachcica.
Przeciwnika zwieść każdy na tym świecie szuka,
Więc i nasza też musi być w zwodzeniu sztuka.
Dobrze się więc za temi ukryj okłotami,
Dwaj lub trzej jeszcze strzelców niech siadają z nami,
Bo armia rezerwowa nam się przydać może,
Tak o dobry rezultat śmiało się założę.
Niebierz wcale śrótówki! — Weź sztuciec dowodny,
Bo zobaczysz, że zwierz ten kuli będzie godny.
Bierzesz sztuciec Werndlowski? — To dobre do tarczy,
Lecz do zwierza — obaczym, czyli to wystarczy,
Mówisz, że sześćset kroków to dla niego fraszka,
Że na taką odległość z niego trafisz ptaszka?
Oj! widziałem raz strzelca, co tak szedł w zapasy,
Z Werndlowskiego on sztućca wystrzeliwał asy,
Lecz gdy go po raz pierwszy do zwierza spróbował,
To na kroków piętnaście odyńca spudłował.
Co do mnie, niedowiarkiem ja jestem w tej mierze,
I w mój Wiśniowieckiego tylko sztuciec wierzę,
Gąszcz, odległość, bieg zwierza — to mi nic nie szkodzi,
Bo to wiem — gdzie wymierzę, tam kula ugodzi.

Idźmyż więc — tam krajobraz rozległy przed nami,
Między zboża krętemi przemkniem sogłówkami.
Łan pszenicy się ciągnie już pół mili blisko,
Z niej ścierń tylko została — tam dalej hreczysko.
Znowu jedziesz pół mili. — Wreszcie łan skończony,
Oto ugor przed nami w pełni rozścielony.

Znasz ty step? bracie drogi! — tu jego dziedziny,
Tu masz obraz klasycznej naszej Ukrainy!
To podolski step — cichy i nie uprawiony,
Takim był ręką Boga przed wieki stworzony.
Pług tu skiby nie zorał — lokomotyw świsty
Oszczędziły go dotąd — jest dziewiczy, czysty.
Jak Ocean równina pod nieboskłon leci,
Tu i owdzie jeziorko, jak zwierciadło świeci,
W dali — jak flota — stoją na tym oceanie,
Mniejsze, większe budowle na skoszonem sianie,
Sterty wielkie tam sterczą — niby monitory,
Tam znów stogi — jak mniejszych statków zastęp spory.
Tam patrz! — widna znów wioska, w niej cerkwi dzwonnica,
Jak nad morzem warowny port — a w nim strażnica.
Nie sądź, że na tem morzu wysp nie znajdziesz wcale,
Widzisz ten wzniosły kopiec na tych mogił wale?
Nie wulkanu go wzniosła tam olbrzymia siła,
To rękami sypana Nebaby mogiła,
O niej bym ci zaspiewał — bo ta pieśń mi znana,
Lecz bez pióra poety, bez lutni Bojana
Ja — prostaczek — odeślę cię do Goszczyńskiego,
Lub do wieszczych, czarownych pieśni Zaleskiego.
Czyjeż kości ten kurhan tam od wieków grzebie?
Burzan zwiądł, co był wówczas na owym pogrzebie,
Szumem ci nie zaspiewa. — A ziemia stepowa.
Swych tajemnic zazdrośna, w milczeniu je chowa,
Bo ta ziemia hetmańska lubi teraz ciszę,
Dzieje dawne, tak krwawe, mogiłami pisze!
Ktoż te jej hieroglify już dzisiaj odczyta?
Kto w mogiłach tych leży, któż dzisiaj odpyta?
Czy on krzyż miał na piersiach, i krzywą szablicę,
Czy też w rękach miał buńczuk, koran, półksiężyce?
Nie wiesz — ten co tu drzemie — u jakiej legł warty,
Może w walkach mniej dawnych Legionom wydarty —
Nic już teraz nie zbadasz z tych prochów i kości,
Czy to rycerz najazdu — czy rycerz wolności?

Patrząc na ten step dziki, ponury, bezludny,
Może powiesz, mój bracie! że on smętny, nudny?
Lecz ma urok tak dziwny ta stepów kraina.
Że tak serca swych dziatek w swoje więzy zgina.
Kto młodzieńcem tu znalazł swoje ideały,
Kogo tchnienia tych mogił tylko raz owiały,
Kto tej ziemi ciekawe hieroglify badał,
Kto o zbiegłej przeszłości z kurhanami gadał,
Kto śród nich się urodził — dla świata zgubiony!
Niech go los w najcudniejsze ziemi rzuci strony,
To przybyszem i obcym jest na każdej grzędzie,
Całe życie do stepów swoich tęsknić będzie.
Stepy moje rodzinne! Jak mi serce skacze,
Gdy — daleki już od was — znowu was obaczę!
Marzyłem, że tu kiedyś przymrużę powieki,
Ale los mnie już z wami rozdzielił na wieki,
I ja wszędzie przybyszem już odtąd zostanę.
O bo tęsknić za wami nigdy nie przestanę!

Ale precz myśli smutne! Myśmy dziś łowcami,
Jedźmyż naprzód wesoło — kiedy step przed nami.
Stój! — Czy widzisz? — bieleje — to widok mi znany,
Sądzisz, że to się pasą tam siwe barany?
Weź-że moją lunetę! — przejrzyj te orszaki!
Jest ich przeszło dwadzieścia. — Poznajesz te ptaki?
To są dropie! — To strusie są nasze stepowe,
Lecz czujniejsze od tamtych. — Patrz, jak wznoszą głowę!
Już nas z dala tak śledzą — już patrzą — badają —
Ale nas nie poznały — za chłopów nas mają.
Tylko lufką nie błyśnij! — czujne niesłychanie,
Wnet poznają, z kim sprawa — adieu polowanie!
Prędko ich cierpliwości przebiera się miarka:
Łatwiej, niźli ich, w pole wywiedziesz Bismarka.
Z dawna lew, zwany królem Afryki pustyni,
Znów głos strzelców jelenia królem lasów czyni,
Mówią także o orle, że król ptaków stary,
A znów struś też nazwany jest królem Sahary —
Znać zwierzęta i ptaki są rojalistami —
Tylko mrówki w przyrodzie republikanami.
Jeśli najszlachetniejszy zwierz jest innych panem,
To drop winien być najmniej tych stepów hetmanem.

Zwolna raz jeden z dala objedziem je w koło,
Przy tem można i krzyczeć, gawędzić wesoło,
One myślą, że chłopi z prażniku wracają,
I zamiarów złych pewno już na nich nie mają.
Jadąc strzelców obrzucim. — Jeden na ugorze —
Dalej drugi za stożkiem — a trzeci, gdzie może —
A gdzie padniesz, leż bratku! — bo to nie spi licho,
Zaraz zoczą — leż ciągle, jak nieboszczyk cicho!
No, już leżą — my jedźmy — i ciaśniejszem kołem
Objedziemy raz drugi, aż skryci tym dołem,
Na strzał do nich się zbliżym. Lecz słońca promienie
Od nas niech na nich świecą — już to spostrzeżenie
Z dawnam zrobił — pod słońce drop patrzeć nie może,
W łowach na nich ten manewr święcie dopomoże.
Są myśliwi — partacze — co śmią głosić zdanie,
Że te łowy na dropie: „chłopskie polowanie“,
Ale komu łowiecka krew raźnie uderza,
Temu drop sprawia urok najgrubszego zwierza.
Jeszcze jeden krąg mniejszy zróbmy, bracie miły!
Już z widokiem się naszym ptaki oswoiły,
Teraz sobie widocznie już z nas nic nie robią —
Zwiedliśmy ich porządnie — znowu trawę dziobią.
Słońce mamy za sobą — jedźmyż wprost na zgraję,
Samiec z głową wzniesioną tam na warcie staje —
Pal do niego! — Wóz z wolna niechaj się zatrzyma!
Wymierz tylko spokojnie! Już sto kroków nie ma —
Strzelaj! Paf! Ależ bratku twój Werndel góruje,
Kula poszla gdzieś w stepy — ot tam ziemię pruje!
Dropie skrzydły srebrnemi po stepie żeglują,
Oderwane od ziemi, nareszcie wzlatują,
Może na obrzuconych strzelców jeszcze wzlecą —
Pada strzał jeden — drugi — białe pióra lecą,
Lecz ptak żaden nie spada. Licho ze strzelcami,
Co do dropi strzelają śrótem lub loftkami,
Tych pancerzy z piór grubych loftka się nie czepi!
Bądźcie zdrowe ptaszęta! Trzeba mierzyć lepiej!
Porzuć bracie już Werndla! To licha rusznica!
Widzisz — kula niemiecka nie słucha szlachcica —
Ot weź Wiśniowieckiego mój sztuciec dowodny,
On szlachetnej krwi zwierza nieustannie głodny.
Prędko strzelców zbierajmy — jeszcze czas do chaty!
Bądź spokojnym, bo w dropie nasz step jest bogaty,
Nawet mi się wydaje — podaj mi lunetę —
Tak jest — widzę znów dziewięć, pośród nich widetę!
Tam koczują, jak gdyby na puszczy araby,
Są zaledwie sto kroków od kopca Nebaby —
A więc czasu nie traćmy! — Zaraz wielkie koło —
Strzelcy, gubcie się znowu! Leżeć nie wesoło
Nieruchomo, wiem o tem — lecz to nic nie szkodzi,
Gdy drop na was nadleci, to wam wynagrodzi.
Jedźmyż znowu mniejszem kołem — dropie już spokojne,
Sądzą, żeśmy ów kongres, co zażegnał wojnę,
Żeśmy ludzie spokojni. — Ach, patrz! ten na straży,
Jak wspaniały, jak butny! — on los armii waży,
Gdy da znak, inni wzlecą — i bitwa przegrana, —
Lecz nie poznał nas, myśli: to drużyna znana!
Kroków już sto pięćdziesiąt — zmierz tylko pomału,
I spokojnie, a strzeż się zbytniego zapału!
Prawda, że serce bije, że piękne spotkanie?
Nie prawdaż, że to nie jest chłopskie polowanie?
Z tego sztućca tkwi kula, gdzie człowiek wymierzy,
Pal do dropia na straży! — Paf! Brawo! — Już leży!
Hurma zrywa się z trwogą i w górę się wznosi —
Poprawże z drugiej lufy, pan Bóg kule nosi!
Brawo, pada i drugi! To „coup double“ kulami!
Gerard by pozazdrościł, gdyby tu był z nami,
Nie mówiłem, że licha wart sztuciec niemiecki,
Teraz bracie zawołaj: Wiwat Wiśniowiecki!

O NIEDŹWIEDZIACH NA LITWIE

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

(Dokończenie).

Prócz tego wypadku kilkanaście razy zdarzyło mi się być świadkiem pokąsania ludzi przez niedźwiedzi bez wielkiej zawsze szkody, bądź dzięki dobrym pieskom, które są najlepszą człowieka obroną, bądź dla tego, że niedźwiedź nie ma tego wilczego zmysłu dobierania się wprost do krwi i mięsa, lecz chwyta zębami za to, co najbliższe, i rwie, co mu pod zęby popadło. Widziałem myśliwca, którego przez cały kwadrans dwoma nawrotami niedźwiedź operował, a skończyło się na porwanej w kawałki torbie borsuczej i poszarpanym półkożuszku, do których się wyłącznie przyczepił. To też z dobremi psami polowanie na niedźwiedzia nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, z niedoświadczonemi tylko, ktore nie wiedząc o co rzecz idzie, spotkawszy go, po kilku naszczekaniach idą szukać zajączków lub lisa, polowanie to połączone jest z niebezpieczeństwem, ponieważ niedźwiedź nawet ranny śmiertelnie, a nie przytrzymany przez psy, może się dać jeszcze we znaki. Piękny to widok prowadzonego niedźwiedzia przez kilku dobrych piesków. Wiedząc dobrze, że mu nic złego zrobić nie są wstanie, nie gorącują się, nie zajadają, i na próżno nie męczą. Śmielsze idą z jego boków, bojaźliwsze z tyłu, goniąc tylko głosem i starając się go szarpnąć ze strony, na którą w tej chwili zwróconej nie ma uwagi, szarpnąwszy odskakują na stronę, zajmując sobą niedźwiedzia, póki nowe szarpnięcie nie zmusi

go na nowo w przeciwną stronę się zwrócić, i tak ciągle, że mu nie dadzą chwili jednej odpocząć i na co innego zwrócić uwagi. Tak to zaś sobie robią flegmatycznie, że zdarza się ich przez ten czas widzieć zatrzymujących dla różnych swoich prywatnych interesów, dla podrapania się lub wytaczania się w śniegu, ale po strzale wszystkie są już na nim tak, że niedźwiedź opamiętać się nawet nie może, zkąd ten strzał wypadł, i czy ranny czy nie ranny, czy ranny śmiertelnie, czy lekko, myśli tylko, jak się od nich obronić. Wtedy to dostaje się biednym psiakom, ale strzelec jest najzupełniej bezpiecznym. Wreszcie mając naraz z tylu do czynienia, rzadko niedźwiedź może i psu bardzo zaszkodzić, i częściej giną od kuli jakiego zbyt gorącego lub nieuważnego strzelca, jak od zębów i pazurów niedźwiedzich.

Z wypadków śmierci od niedźwiedzia, jakie sięgam od lat pięćdziesięciu moją pamięcią, prócz wspomnianego wyżej osocznika, dwa tylko wyliczyć potrafię, to jest: księdza proboszcza zadartego na polowaniu u hr. Tyszkiewicza, z własnej jego nieostrożności, gdyż po strzale zamiast doczekać się blisko już dochodzących psów, podszedł do leżącego niedźwiedzia tak blisko, że ten jednem pociągnięciem łapy schwycił go pod siebie i zagryzł — i Marszałka Świeżyńskiego, którego śmierć prawdziwie dramatyczna warta jest szczegółowego opisu. Było to, nie pamiętam w 1838 czy 9 roku. Marszałek Świerzyński, obywatel Borysławskiego powiatu, namiętny myśliwy, gdy mu znać dano, że niedźwiedź dowiaduje się codzień po zachodzie słońca do jego owsa, kazał sobie urządzić tak zwaną pałatkę, to jest rodzaj pomostu na sosnie, stojącej nieopodal. zwykłej drogi niedźwiedzia do owsa. Wróciwszy nieco później jak zamierzał z sąsiedzkiej wizyty do domu, z obawy nie zostawienia po sobie śladu na rosie, któryby mógł niedźwiedzia odstraszyć, zamiast najlepszej swej broni porwał pierwszą, jaka mu się pod rękę nawinęła, nabitą pojedynkę, z nią pobiegł do lasu i wlazł na pałatkę. Wiedziony ciekawością lokaj jego bez żadnej broni pobiegł także za nim, i stanął na brzegu lasu. Pomimo wszakże całego tego pospiechu, rosa już spadła, i niedźwiedź przechodząc zwietrzył ślad kroku ludzkiego. Zamiast uciec, albo pójść dalej swoją drogą, zatrzymał się chwilę, poczem obwąchując poszedł tymże śladem wprost ku drzewu, na którem siedział Marszałek. Skutkiem tego niespodziewanego manewru, tenże zmuszony był zamiast z boku strzelać na sztych, i zamiast w łeb między oczy, trafił go z wysokości, na której był, w kark. Strzał był śmiertelny, ale nie natychmiastowy, i niedźwiedź rozjuszony miał dość sił i czasu, żeby się rzucić na drzewo, zburzyć pałatkę, i zrzucić Marszałka na ziemię. Widząc co się dzieje, lokaj pobiegł do domu po ratunek, ale bardzo naturalnie ten już okazał się za póżny. Przez całą godzinę niedźwiedź sam już umierający pastwił się nad nim. Gdy ludzie nadbiegli, twarz marszałka była jedną raną, bez oczu, nosa, uszu i policzków. Znaleziono także nieopodal nie żyjącego już niedźwiedzia. Zawieziony do domu, żył jeszcze Marszałek blisko dwie doby, mógł jeszcze wyspowiadać się i podyktować przyjacielowi swemu i najbliższemu sąsiadowi Marszałkowi Ciundziewickiemu ostatnią swą wolę co do pozostałego po nim majątku i rodziny. Smutny ten jego koniec, nie wpłynął wszakże ani na synów, ani na sąsiadów jego, z którymi nieraz na niedźwiedzie polowałem, w tym bowiem kraju trudno o człowieka, któryby nie był namiętnym myśliwym, ale nie tyle niedźwiedzie, jak niezręczni lub nieuważni strzelcy są dla dobrego myśliwego niebezpieczni, i nie mówiąc o dawniejszych czasach, w ostatnim dziesiątku lat wiem dwa przykłady zabitych na polowaniu ludzi: pana Morawskiego, nadleśniczego lasów Borysławskich i pana Adama Wańkowicza, jednego z najzacniejszych ludzi i najdoskonalszych myśliwych tego kraju. Ile zaś tam jest jeszcze niedźwiedzi, dość przytoczyć jedno nadzwyczajne polowanie, które się odbyło jesienią w 1866 czy 1867 roku..

Nad rzeką Berezyną w majątku Uszy, należącym do pana Stanisława Rawy, jest tak zwany ług Uszański. Jest to dośś znaczny obszar łąk leśnych, przeważnie zarosłych łozą, olchą i bardzo piękną dębiną. Zimą nigdy tam nie kładą się niedźwiedzie, ale za to jesienią zwykły się tam zbierać gromadnie na żołędzie, i wtedy odbywają się na nich polowania nadzwyczaj łatwe, gdyż ług Uszański, długi a wązki, z jednej strony graniczący z rzeką, z drugiej zaś z czystym borem, ma w najwęższych swych miejscach stanowiska, których żadną miarą niedźwiedź ominąć nie może. Co jesień zatem bywały tam polowania bez obławy i wielkich zachodów o kilku dobrych pieskach, na których po kilka niedźwiedzi zabijano. Podanie jest, że nawet kiedyś było ich czternaście, z których kilka trupem padło. Ale na polowaniu w 1867 roku było ich 18, z których 12 zabito. Ośmnaście starych niedźwiedzi w jednym ostępie, tego i myśliwskiej pamięci święty Hubert ludziom by pozazdrościł. W dobrach Borysowskich księcia Leona Radziwiłła zabijało się rocznie od 20 do 30 niedźwiedzi, tyleż jeżeli nie więcej w dobrach Berezyńskich, dziś hr. Maurycego Potockiego, dodawszy jeszcze do tego polowania w dobrach księcia Witgensteina, hrabiów Michała i Konstantego Tyszkiewiczów, a także w lasach okolicznych obywateli, można powiedzieć, że najmniej sto niedźwiedzi padało przez zimę w tych kilku powiatach, i żałuję bardzo, żem sobie nigdy nie zadał pracy porządnej statystyki tych polowań prowadzić. W roku bieżącym wiem tylko o pięknych ośmiu niedźwiedziach zabitych na polowaniach książąt Antoniego i Ferdynanda Radziwiłłów, których obiecano mi przysłać opisy, o ośmiu niedźwiedziach osoczonych, ale nie spolowanych w lasach pana Jeleńskiego, i o kilku polowaniach u moich w tamtych stronach znajomych, co dowodzi, że jest jeszcze tego pięknego zwierza dostatek w lasach litewskich. Życzyćby należało, żeby w proporcyę było także łosi, sarn, zajęcy i kuropatw, których jest coraz mniej, dzięki nieoględności mieszkańców i ciężącemu na całym tym nieszczęśliwym kraju bezprawiu.

Szkód wielkich niedźwiedzie nie robią. Rzadko zdarzy się niedźwiedź, któryby na konie i bydło napadał, szkody w zbożach nie wielkiej są wartości, najznaczniejsze są w ulach i barciach, które chłopi w wielkich ilościach mają po lasach, to też przy tych zdarza się chłopom mieć na seryo z niedźwiedziami rozprawy. Chłop lubi miód, ale i niedźwiedź także, i nie łatwo jeden drugiemu ustępuje. Znałem bartnika w dobrach Ordynacyi Dawidgrodeckiej, nazwiskiem Kalejnika, który już z kilku niedźwiedziami przy barciach się spotykał bez szwanku dotąd, co był winien, jak sam mówił, tylko temu, że nie uciekał, dziada jego bowiem uciekającego niedźwiedź dogonił i zadarł, ojca zaś schronionego już na czółno dopędził wpław na Horyniu i utopił. Opowiadał mi Kalejnik spotkanie się swoje pod barcią z niedźwiedzicą i dwoma jej piastunami [1]), nadeszła w chwili, kiedy ten zlazł z barci, i z narzędziami swego rzemiosła miał już odchodzić. Stanęła, zamarmotała gniewnie, i kilka razy podsuwała się

[1]) Piastuny, młode niedźwiadki.

ku niemu, ale ile razy spotkała się z jego wzrokiem, opuszczała mrucząc nos ku ziemi, jakby wstydząc się spojrzeć mu w oczy, nakoniec po kilku minutach takich manewrów odeszła z dziećmi, zwyciężona jego tylko spojrzeniem. Opowiadając mi to i naśladując własną swą nieruchomość i postawę w obec niedźwiedzicy tak miał głupią minę, że przypuszczałem, iż ta prędzej ją musiała rozbroić, jak magnetyczna siła jego spojrzenia.

Przy tej okoliczności, jak przy każdej innej, czuję się w obowiązku przemówić przeciw przesądowi, który dla wielu stał się rodzajem pewnika, że niedźwiedź atakuje człowieka na dwóch tylnych łapach. Jest to naprzód najzupełniejszym fałszem, a powtóre nie ma najmniejszego sensu, bo dla czegoż miałby używać w tak ważnej dla siebie chwili dwóch tylko nóg, na których nawet w stanie przyjętej od ludzi cywilizacyi niechętnie i z trudnością się trzyma, kiedy ma ich cztery, doskonale mu w mniej ważnych okolicznościach życia służące. Na tym fałszu zbudowano drugi, że na Syberyi zabijają niedźwiedzi w ten sposób atakujących człowieka prostym nożem lub kindżałem. Dla zbicia podobnych wieści opowiem wypadek, którego naocznym byłem świadkiem. Strzeliłem do niedźwiedzicy idącej bez psów na 80 kroków odległości, padła między kłodami, które mi ją zupełnie zasłoniły, ale że byłem sam jeden, nie śmiałem ruszyć się z miejsca, póki psy nie nadejdą, lub ktokolwiek z ludzi się zbliży. Po upływie kwadransa, na strzał mój, przyszedł myśliwiec, i kiedym zaczął z nim głośną rozmowę, ujrzeliśmy niedźwiedzicę przewalającą się przez kłodę, niedalej już jak o 40 kroków od nas, czyli o połowę bliżej jak ją strzelałem. Widząc, że już musi być prawie bezwładną, podeszliśmy ku niej z gotową do wystrzału bronią, i znaleźliśmy ją leżącą pod wywrotem na lewym boku, ale żyjącą jeszcze i bardzo złośliwie na nas patrzącą. Zielone jej małe oczki, świecące jak dwa szmaragdy, i nosek w ciągłym ruchu, dowodziły, że pomimo upływu krwi i ciężkiej w karku rany, życia w niej jeszcze dosyć, chciałem więc ją dobić, ale myśliwiec zaczął mnie prosić, abym mu pozwolił popróbować na niej czerkieskiego kindżała, który nie dawno otrzymał od jakiegoś wojskowego w podarunku. Lubo niechętnie, zgodziłem się na tę prośbę, znając siłę i zręczność tego chłopaka, sam zaś stanąłem z boku, z gotową bronią na jego obronę. Zaczął od tego, że nałamawszy łapek jodłowych zrobił z nich sobie pod nogi rodzaj dywanika, żeby stać mocno i zabezpieczyć się od pośliźnięcia, potem stanął za nim, odeptał należycie, i i upewniwszy się w ten sposób na nogach, wymierzył w pierś niedźwiedzicy, zawsze na boku leżącej, pchnięcie śmiałą ręką, które miało ją przebić, ale w tejże chwili niedźwiedzica z lewego boku przewróciła się na prawo, i w tym ruchu uderzyła łapą w rękę jego uzbrojoną kindżałem. Dość tego było, aby Antoś Łukiańczyk (tak się zwał ów myśliwiec) zarył się w śnieg z głową, kindżał zaś wybity mu z ręki tak gdzieś utknął w śniegu, że po dziś dzień odszukanym nie został. Wypadek ten z niedźwiedzicą dogorywającą aż nadto mnie przekonał, że człowiek na swoich dwóch nóżkach, w śniegu po kolana, nie jest w stanie nawet ustać przeciw niedźwiedziowi zdrowemu, atakującemu go na czterech swoich nogach, w całym pędzie, z dodatkiem ogromnej swej wagi i nadzwyczajnej siły, i że to tylko na rysunkach Victora Adama, i w opisach Francuzów, którzy nigdy na niedźwiedzia nie polowali, widzieć się daje. Pięknego pchnięcia dokonał w moich oczach na niedźwiedziu, którego wprzód kulą powalił hrabia Konstanty Branicki. Niedźwiedź ten lubo śmiertelnie trafiony, nie tylko żył jeszcze, ale leżąc na brzuchu, z rozciągnionemi wszystkiemi czterema łapami, i łbem wspaniale w górę podniesionym, miał jeszcze powierzchowność nader imponującą. Wtedy hr. Branicki korzystając z zapatrzenia się jego na nas kilku przed nim stojących, zaszedł go z boku, i schwyciwszy za lewą łapę, leżącą na śniegu, podniósł ją, i utopił mu kordelas w samo serce. Wziąwszy na uwagę wielki cieżar tej łapy, którą potrzeba było wyrwać prędko ze śniegu i podnieść na kilka przynajmniej cali od ziemi, i niebezpieczeństwo dokonania tej operacyi, tuż obok otwartej paszczy niedźwiedzia, podziwiać należy zręczność, siłę i odwagę hrabiego, który to z niepraktykowaną szybkością uskutecznił. Powszechnem prawie jest także mniemanie, że niedźwiedź ciągnie swoje zimowe pożywienie z własnej łapy, ssie on swoją łapę w każdej porze roku, kiedy leży, wypoczywa sobie, i nic nie ma lepszego do roboty, jest to próżniacze jego zajęcie, jak u nas kłaść pasyans, albo palić papierosy. Łohwy niedźwiedzia odznaczają się zawsze nie tylko dobrym doborem miejsca w zaciszu i pod wywrotami. które im rodzaj dachu i ścian zapewniają, ale nawet czystością i pewnego rodzaju komfortem, wysłane zawsze łapkami jodłowemi, mchem i suchym liściem, od biedy mogłoby i człowiekowi za jakie takie służyć schronienie. Widziałem wszakże łohwę niedźwiedzią na czystem błocie, a raz spolowaliśmy niedźwiedzia, którego przez cały dzień znaleść psy nie mogły, ponieważ w w jesieni zapewne, przed spadnięciem śniegów, ulokował się w pniu ogromnych rozmiarów pustej wewnątrz jodły. Śnieg i lód otwór, przez który wlazł zasypały, i została mu się tylko dziura nie większa od drzwiczek do pieca, przez którą oddychał. Po zabiciu musiano tę dziurę siekierami rozszerzyć, żeby go dobyć. Nie zawsze niedźwiedzie kładą się w głębokich puszczach, chłopi nawet dowodzą, że lubią, kiedy ich szczekanie psów i pianie kogutów dochodzi. To tylko pewne, że nieraz mi się zdarzyło polować na niedźwiedzia na samym brzegu pola folwarcznego, a jednej zimy zabiliśmy dziewięć niedźwiedzi tak blisko folwarku leżących, że po dwa polowania dziennie robić mogliśmy, wracając zawsze do folwarku na obiad. W tym nawet roku zabito niedźwiedzia w powiecie Borysowskim, który sobie zrobił łohwę za samym ogrodem dworu Zabaszewicze, zkąd już nie tylko psów i kogutów, ale nawet fortepianu mógł się nasłuchać.

Na zakończenie powiem, że dziś jeszcze po napisaniu wszystkiego co wyżej, miałem długą rozmowę o polowaniu z przejeżdżającym przez Kraków panem Hieronimem K...., majętnym obywatelem na Polesiu, i jak każdy Litwin namiętnym myśliwym. Mówił mi, iż przeszłej zimy dużo zabili niedźwiedzi, że łosi na Polesiu jest mnóstwo, świń stosunkowo nie wiele, ptactwa zaś borowego, wodnego i błotnego taka obfitość, jakiej najstarsi nie pamiętają. Toki tej wiosny cietrzewie i głuszcowe miały być przepyszne.

Słowem zawsze to ta kraina, którą raz poznawszy myśliwy musi, jak ów Poleszuk po dwuletniej podróży po Europie, temi tylko wyrazy określić: Nihdzie lepsz jak u Radziwiłłowiczach. Znałem na Litwie nie młodego już pana Dominika B.......cza, człowieka ogromnego wzrostu, wielkiej siły, przytem wielkiego za młodu burdę i awanturnika, a nadzwyczaj umysłowo ograniczonego, w ruchach zaś dziwnie niezgrabnego. Spotkawszy go na jarmarku Berdyczowskim sławny szuler generał Hadzkiewicz, człowiek zresztą bardzo wesoły i dowcipny, zaczął go oprowadzać po wszystkich sa-

*

lonach, prezentując zawsze damom: Monsieur B.......cz, ursus lituanicus. Zapytany, co znaczy ten tytuł, Hadzkiewicz mu wytłumaczył, że to znaczy po francuzku Sędzia graniczny, i pan Dominik, mający do niego prawo. najzupełniej się tem zadowolnił, Ile razy mówię o niedźwiedziach, zawsze mi ta anegdota staje na myśli, i dziwną jest rzeczą, że ten zwierz przy całej swojej dzikości, drapieżności i najgorszej sławie, jakiej używa, wesołe raczej, jak ponure obudza wspomnienia, coś, że tak powiem nakształt tej sympatyi, jaką mieliśmy dla bohatera powyższej anegdoty, za jego niezrównaną naiwność przy powierzchowności i naturze prawdziwie niedźwiedziej. Żyć by się z nim nie chciało. Spotkać się, i pogawędzić o nim, bardzo miło.

KORESPONDENCYE.

Zawoja pod Babią górą, 23. Sierpnia 1878.

Dzisiaj zrana około godziny 7, kiedy już miałem z Zawoi odjeżdżać, przybiega chłopak na leśniczówkę, i zdyszany woła: „Panocku, panocku, chodźcie co prędzej ze strzelbą, bo tam na gaju (drzewie) koło chałupy ogromny zwierz siedzi“. Wzięliśmy tedy dwie dubeltówki, i poszliśmy za chłopcem, który nas poprowadził o jakie dwa tysiące kroków od leśniczówki. Przyszedłszy pod chałupę górala, zobaczyliśmy pod jasionem zbiegowisko chłopów, a na samym prawie wierzchołku drzewa, które tuż przy domu stało, spostrzegliśmy żbika siedzącego na gałęziach. Przypatrzywszy się mu przez chwilkę, jeden z nas złożył się, strzał się rozległ, a w kilka chwil zwierz śmiertelnie w piersi ugodzony spadł z drzewa, i w kilka minut żyć przestał. Był to kocur, jeden z największych niezawodnie okazów, bo miał z pewnością 2½ stopy długości, a może i do trzech dochodzi. Rzadkość tego zwierza w tej okolicy wielka być musi, opowiadano mi bowiem, że ostatni dziki kot był tam zabity przed 8 azy 9 laty. Dostał się on do domów w następujący sposób: Lasy są tutaj wszędzie bardzo blisko domów, kilkuset a najwięcej w odległości tysiąca kroków. Kot w nocy podkradł się pod dom, i po ścianie domu, złożonego z nieociosanych belek wylazł na poddasze. Koło godziny 2 po północy góral obudzony został wrzaskiem kur na poddaszu, a że przeczuwał od razu jakiegoś nieproszonego gościa, więc czemprędzej poszczuł psa, a sam pobiegł na górę. Tam spędził kota, który już jednej kurze skrzydło zupełnie odgryzł, na dół, gdzie już pies czekał i z całą zajadłością na niego się rzucił. Kot wystraszony, dostawszy się we dwa ognie, umknął na drzewo. Góral zbiegłszy na dół, chciał go dostać żerdzią, przez co wpędził go jeszcze wyżej prawie aż na sam wierzchołek, gdzie też żbik dosiedział do samego rana, i gdzie nareszcie śmierć znalazł.

W okolicy tej przebywa także orzeł przedni (aquila fulva). Jednego młodego schwyciliśmy w lesie żywcem. Jakkolwiek jeszcze nie wyrosły, był już całkiem aż po palce upierzony. Dochodził wielkości wyrosłego kruka, a chodząc po podwórzu przy domu, zupełnie tak samo komicznie spacerował, jak kruk w domu chowany. Schwytany zaś został w ten sposób, że sobie skrzydła gdzieś w krzakach przy ustawicznym deszczu pomaczał, i nie mógł wzlecieć. Gdyśmy do niego przyszli, rzucił się zwyczajem orłów na wznak, lecz bez oporu dał się za nogi wziąć. *Wł. Białkowski.*

Sokołów, 15. Sierpnia 1878.

Będąc sam myśliwym i należąc do Towarzystwa łowieckiego, uważam jako obowiązek ścisłe przestrzeganie ustawy myśliwskiej, pobudzanie innych do szanowania tejże, a w razie wykroczenia przeciw niej, upominanie się, by ona gorliwie pilnowaną była. — Przykro mi, iż muszę się narazić kilku moim sąsiadom, z którymi mnie zresztą przyjazne łączą stosunki, a tylko w kwestyi szanowania ustawy myśliwskiej wielce się rożnimy. Otóż ze zgrozą muszę donieść, że do dnia 7. Sierpnia padło w Stryjskiem kilkanaście cietrzewi, jako ofiary nie przestrzeganej ustawy przez moich sąsiadów. — Już hr. Leopold Starzeński, mój towarzysz myśliwski, wystąpił w swojej pięknej rozprawie przeciw tym panom, chcąc ich powstrzymać od zakazanych ustawą łowów, i tem samem dać cietrzewiom czas do podrośnięcia i przybrania godowego pierza, w którym to czasie szanujący ustawę myśliwy dokładnie samiczki rozróżni od samców, i tylko te ostatnie do swego tryumfu myśliwskiego wliczy. Inaczej się w Stryjskiem dzieje, samce oraz samice wcale nierozpoznawane, zamiast w ślubne wstępować szranki, służą do zaspokojenia nieograniczonej namiętności myśliwskiej, i do wzbogacenia obiadu jednem jeszcze zakazanem daniem. — Nie przeczę, że to bardzo przyjemnie i wygodnie wybierać przed psem legawym całe stado młodych, zaledwie podlatujących w tym czasie cietrzewi, ale nie wszystko, co przyjemne, jest dozwolone, a prawdziwy myśliwy, im więcej ma trudności w łowach, tem bardziej może się szczycić swoim tryumfem. Inne niestety jest zdanie niektórych moich sąsiadów w Stryjskiem. Według mego zdania, można na cietrzewie polować, zgodnie z ustawą, tylko na wiosnę i w jesieni. Na wiosnę pełne poetycznego uroku polowanie jest nam dozwolone na toku, ale jest to polowanie połączone z nie małym trudem, trzeba bowiem cietrzewia mozolnie upatrzyć, jakie miejsce on na swe zaloty obrał, kilka bezsennych nocy spędzić, obserwując ciągle tego ptaka, w jego godowej porze, zapomina on bowiem w takiej chwili o grożącem mu niebezpieczeństwie, i jak Romeo żyje tylko miłością. Ale właśnie to jest najprzyjemniejszem uczuciem dla prawdziwego łowca, że przed świtem wyjeżdża z domu w bory, jest pierwszem stworzeniem, które składa hołd stwórcy, podziwiając majestat ze snu budzącej się przyrody, wita wschodzącą jutrzenkę w miejscu, w którem miłością rozpłomieniony cietrzew przyzywa do siebie czułą kochankę. Jakiż to uroczy widok cietrzewia, zalecającego się do swej przyszłej małżonki, jak on się stara być pięknym, jakich używa istnie salonowych ruchów, by się swej ulubionej podobać, jak czułym wabi ją głosem, by raczyła zbliżyć się do samotnego pustelnika! Zaprawdę przykro nieraz położyć celnym strzałem koniec owym zalotom, i nie jeden myśliwy odkłada strzelbę od ramienia, i woli spokojnie przypatrywać się owym zalotom. Czyliż tego uczucia doznają ci, którzy w końcu Lipca lub z początkiem Sierpnia wybijają stada cietrzewi? — Drugie polowanie na cietrzewie, któremu ustawa tamy nie kładzie, odbywa się w jesieni, jak to czynią panowie dzierżawcy lasów Lisowieckich. Polowanie to jest również wielce miłe, lubo strzał jest trudny, bo cietrzew pędzony przez pogónkę, wzbija się wysoko, zdala bystrem okiem dostrzega myśliwego, trzeba więc wprawnej ręki i dobrej broni, by celny strzał dosięgnął owego powabnego ptaka.

Niechaj pomną moi sąsiedzi, do których tym razem ogólnie przemawiam, nie wymieniając nazwisk, że cietrzew jest stałym mieszkańcem naszego kraju, nie cudzoziemcem,

spędzającym tylko porę ciepłego lata z nami, jak przepiórka lub słonka, która na wiosnę budzi nas swem miłem chrapaniem, a do snu upomina w jesieni swym przelotem. Cietrzew, to nasz wychowaniec, to dziecko kraju, które nas nie opuszcza w zimowej porze, które z nami znosi wszystkie niowygody klimatu, które i w zimie bawi oko myśliwca. Cietrzew, to ptak, który przez długie lata tępiony, dziś już tylko w niektórych stronach przebywa, a liczba jego znacznie się zmniejszyła, słusznie przeto Ustawa wzięła go w obronę, nie dozwalając nigdy strzelać do kur, a oddając tylko koguty na łup myśliwego. Czyliż owi panowie w Stryjskiem są w stanie z końcem Lipca lub początkiem Sierpnia rozeznać młode samce od samiczek? Czyż ci panowie posiadają specyalny przymiot rozpoznawania tych ptaków? W takim razie niechaj podadzą ów sposób do publicznej wiadomości — a wtedy zmienioną będzie Ustawa na ich korzyść, i będą mogli swobodnie w każdej porze wybijać stada cietrzewi. Zresztą każdy prawdziwy myśliwy nie jest Ustawą w swej ulubionej rozrywce powstrzymany, bo prawie przez cały rok jest pewna zwierzyna wystawiona na jego łup — ledwie przez krótki czas należy strzelbę zawiesić na kołku, ależ odpoczynek jest rozrywce potrzebniejszy, jak pracy! Wszakże panowie ci mogliby zwrócić swój zapał myśliwski ku kaczkom, kszykom, dubeltom i t. p., jeżeli na chwilę nie pragną odpoczynku w swych zapędach myśliwskich, zamiast przekraczać ustawę, wybijając nielitościwie resztki cietrzewi, jedynie może dla dogodzenia żołądkowi. — Leopold hr. Starzeński odzywając się w obronie naszych cietrzewi, zakończył przemówienie swe prośbą, by jego głos nie był głosem wołającego na puszczy — ja pragnę inaczej zakończyć, bo ów głos stał się rzeczywiście takim, jak to zresztą sz. autor przewidywał — ja zniewolony jestem oświadczyć trzem moim sąsiadom, iż w razie nieposzanowania przez nich dalszego naszych Stryjskich cietrzewi, nie będę się wahał wymienić ich nazwisk w Piśmie naszem. Wszelako pełen jestem otuchy, że szanowni sąsiedzi moi nie zmuszą mnie do tego nader przykrego kroku, i że odtąd cietrzewie u nas swobodnie do pełnoletności dochodzić będą. Niechaj będą pewni, że powodem tego wystąpienia mego nie jest wcale jakaś zaściankowa niechęć, lub myśliwska zawiść, wiedzą bowiem, że mam na przestrzeniach mego zakresu polowania cietrzewie, które się swobodnie wychowują, a ja się cieszę nadzieją spotkania się z nimi w Listopadzie przed pogonką, lub w porze uroczych zalotów na wiosnę. Jako dowód, iż tylko prawdziwe poczucie obowiązku przestrzegania ustawy łowieckiej dyktowało mi powyższe słowa, może nie bez goryczy, przytoczę, iż właśnie przed napisaniem owych kilku słów, raczył mnie jeden z owych sąsiadów odwidzić, i opowiadał mi, jako myśliwemu, szczęśliwą przygodę, jaka jemu i towarzyszom jego przy wybijaniu stada cietrzewi się nadarzyła. Na to mu odpowiedziałem, iż czuję się obowiązanym uwiadomić o tem za pośrednictwem Pisma naszego, szersze koło myśliwych, i tym sposobem wybawić cietrzewie naszej okolicy od ostatecznej zagłady. Wynurzyłem oraz nadzieję, że ci moi łaskawi sąsiedzi, pomimo tej mojej chęci ochronienia cietrzewi, pozostaną ze mną nadal w przyjaznych stosunkach, i że odtąd urządzać sobie będą polowania na te piękne ptaki tylko na wiosnę lub w jesieni, w czem niezawodnie więcej doznają przyjemności, jak w dotychczasowym sposobie polowania — co jest w obec ich własnego sumienia i ustawy myśliwskiej — lekkomyślnością.

Edmund hr. Dzieduszycki.

Szczawnica 8. Września 1878.

Stan zwierzyny nie bardzo tu bogaty. Mają być tu tylko sarny, lisy i zające, a czasem dziki i wilki. O jeleniu i niedźwiedziu ani wieści.

W Wrześniu zaczyna się tu inne polowanie, które trwa do Listopada, a to — połów łososi. Dnia 2. b. m., popasając w Łącku, wsi na pół drogi prawie między Starym Sączem a Szczawnicą, zastałem powiatowego inżyniera z Nowego Sącza, bawiącego tam w celu wyznaczenia miejsc do stawiania płotów na Dunajcu ludziom, którzy wydzierżawili prawo używania przy łowieniu brzegów rzeki, gdyż koryto samo Dunajca jest rzeką wolną, nie należącą do nikogo. Będzie to drugi czas łowienia łososi coroczny. Pierwszy peryod tego połowu jest na wiosnę, gdy łososie idą pod wodę w górę na tarło. Drugi peryod teraźniejszy jest na wracające łososie. Kto chce je łowić, najmuje od graniczących z Dunajcem gmin w drodze licytacyi, lub od większych właścicieli w drodze ugody, brzegi rzeczne, lecz łowić dotąd nie może, dokąd Starostwo nie ześle inżyniera, którego zadaniem jest wyznaczyć miejsca do stawiania płotów tak, żeby nikomu szkody nie mogły zrobić tamując wodę. Do tej komisyi wezwane są i sąsiednie gminy, czy nie mają co przeciw stawianiu tych płotów do zarzucenia. Koszta komisyi płaci strona interesowana. W ten sposób są brzegi od szkód zabezpieczone. Co do samej łówki nic dokładnego nie dowiedziałem się. Mówiono mi tylko, że w stawianych płotach są w pewnych przerwach wstawiane kosze, w których się łowią łososie same albo napędzane. Rezultaty połowu tego mają być bardzo znaczne, bo Dunajec ma sławę rzeki najbogatszej w ten rodzaj ryb. a marynaty z nich w beczułkach po 13 i 15 funtów rozchodzą się kolejami do większych miast, a szczególniej do Wiednia. Beczułka mniejsza marynaty ma tu nad Dunajcem mieć wartość 6½ złr. większa 7½ złr. Handel łososiami do miast krajowych i zagranicznych jest w ręku żydów, trudniących się marynowaniem i rozsyłką, i którzy to kupcy robią już przed rozpoczęciem połowu ugody z dzierżawcami za cenę umówioną od każdego funta. Tyle o połowie łososi w Dunajcu, wartoby szeroką dać o tem wiadomość — jeżeli się coś dokładniejszego o tem dowiem, nie omieszkam natychmiast donieść, tymczasem może i to się przyda.

J. S.

Lattaquié 13. Sierpnia 1874 [1]).

Dziś rozpoczynam list mój od pantery. Zwierz ten ku granicom Persyi, głównie zaś w Indyach wschodnich jest więcej upowszechniony. W Alpach Pontyjskich, w okolicach Smyrny, w Syryi, a nawet w Arabii skalistej, należy do rzadkich zwierząt. Prócz tego polowanie na panterę połączone jest zawsze z niebezpieczeństwem utraty życia, bo chociaż zwierz ten zwykle nie zaczepia człowieka, zaczepiwszy jednak, a tem bardziej przestraszony lub zraniony, staje się nieubłaganym, i z wściekłością oraz ze zwykłą sobie piorunującą szybkością rzuca się na nieprzyjaciela, i zozdziera go w okamgnieniu, pastwiąc się z upodobaniem nad ofiarą, dopóki ona znaki życia okazuje. Dla tego mało tu jest myśliwych, którzy ten rodzaj polowania praktykują. Ja sam delegowałem niedawno kilku Turków zuakomitej odwagi i dobrze strzelających ludzi na dwie wiadome pantery, żaden jednakże z nich nie podjął się tej antrepryzy, pomimo to nawet, że pantery te codziennie

[1]) List do profesora szkół realnych p. Zawadila (patrz nr. 8. „Łowca").

prawie zjadają im barany, i że jeden z owych Turków już w roku zeszłym ubił panterę, która mu na pamiątkę ostatniem drgnieniem swej łapy lubo nie nadwerężyła twardego łba tureckiego, ale zeń połowę skóry z jednem uchem zdarła. Zrobiliśmy starania o kule rozrywne, które jeśli zostaną nadesłane, wówczas ja sam będę odważny, bo już doświadczyłem osobiście, jaką ma władzę taka kula. W każdym razie ubijają tu przypadkowo prawie parę panter, i obecnie jedną skórę średniej dobroci posiada jeden Grek, brat wicekonsula rossyjskiego, który żąda za takową 10 napoleonów. U Arabów i Fellachów można czasem kupić skórę pantery za 3 do 4 napoleonów, i zapewne Grek więcej za swoją niezapłacił, ale czyliż Grecy w chciwości nie przeszli nawet żydów? Gdyby mi się udało jeszcze kiedy ubić panterę, w takim razie z przyjemnością prawdziwą ofiarowałbym koszulę jej bez pretensyi. Suma żądana przez Greka jest za wysoka. Konsul francuski zapewnił mnie, iż wszelkich starań dołoży, abyśmy mogli kupić skórę pantery za 250 do 300 piastrów (jeden napoleon równa się 92 piastrom tureckim).

Prosiłem p. Schlüttera w Halli, aby z przysłanych mu przezemnie skór ptaków, wyprawił dla sz. Pana 75 sztuk, mianowicie: *1 accipiter nisus*, *1 circus aeruginosus*, *1 strigiceps pallidus*, *1 athene meridionalis*, *2 merops apiaster*, *1 merops aegyptius*, *1 sitta syriaca*, *1 pallenuru sulphurea*, *1 ixos xanthopygos*, *5 petrocosypha cyanea*, *1 ruticilla phoenicura*, *1 curruca orphea*, *1 adophoncus nisorius*, *1 curruca Rüppelii*, *1 saxicola leucomelia*, *1 pratincola rubicola*, *2 garrulus melanocephalus*, *2 columba livia fera*, *3 francolinus vulgaris*, *6 perdix saxatilis*, *1 charadrius Geoffroy*, *1 charadrius albifrons*, *3 haplopterus spinosus*, *1 recurvirostra avocetta*, *1 machetes pugnax*, *5 pelidna cinclus*, *1 tringa Schinzii*, *2 actodromus minutus*, *1 strepsilas interpres*. *1 calidris arenaria*. *2 gambetta calidris*, *1 limosa melanura*, *1 numenius arcuatus*, *1 zapornia pygmaea*, *1 mareca penelope*, *2 laroides argentatus*, *2 clupeilarus fuscus*, *4 larus canus*, *1 rissa tridactyla*, *2 gavia ridibunda*, *1 gelastes columbinus*, *2 thalasseus cantiacus*, *1 sterna affinis*, *1 hydrochelidon leucoptera*, *2 puffinus arcticus*. Wymienione preparaty wysłane były do Halli w dobrym stanie. Pomiędzy tymi gatunkami jest *Turdus cyanus* czyli *petrocosypha cyanea*, dwa samce i trzy samice. Ptak ten utrzymuje się po nadmorskich przepaścistych skałach, ma tajemnicze obyczaje, jest bardzo ostrożny, rzadki, i z niezmiernym trudem przychodzi go zdobywać, ma tedy wartość, i nie jest po zbiorach zoologicznych upowszechniony, życzeniem mojem jest, aby sz. pan jedną parę tych drozdów od siebie przeznaczyć raczył dla zbioru we Lwowie, gdzie go zapewne nie ma. Dla zbioru zool. we Lwowie dostarczę wiele pięknych rzeczy, jeżeli szan. panu uda się wyjednać dla mnie posadę konserwatora, a w takim razie zbiór ten skorzystałby nie tylko z teraźniejszej mojej bytności na Wschodzie, ale i na przyszłość, ileby Bóg pozwolił, ze stosunków moich z naturalistami, jakie tak na Wschodzie, jakoteż w Europie i Ameryce zawiązałem, poświęciłbym je z całą gorliwością na pożytek i ku wzrostowi owego Zbioru. Przyczem skorzystałyby również Zbiory gimnazyalne w Galicyi, ku zasileniu których, pomimo pewnych funduszów, nie posiadacie obecnie ani sposobności, ani pracowników, i musicie przepłacać za pospolite nieraz miernoty handlarzom, exploratorom ze granicą. Ten przedmiot, który zaiste i dla nauki i dla ozdoby zakładów naukowych nie małej jest wagi, i który wiele przyczynia się i do zadowolenia przyjemności publicznej i do rozbudzenia w uczącej się młodzieży zamiłowania nauk przyrodniczych, zasługuje na protekcyę Władz, i jeżeli los nas ku sobie zbliży sz. panie, to może będziemy radzić wspólnie i ułatwiać środki nie tylko dla pomnożenia Zbiorów zool., ale i dla utrzymania ich w stanie właściwym. Dla tego i dla innej przyczyny pragnąłbym powrócić do Was. Nim to nastąpi, muszę i umiem cierpliwie zgadzać się z wolą Bożą, a com stracił i zyskał na oddaleniu się z kraju rodzinnego, niechaj kilka wyrazów, z serca wyjętych, oznaczą i moje pragnienia usprawiedliwią. Zyskałem kraj, który jest nierównie piękniejszy od naszego kraju, przepełniony wdziękami przyrody, których opisać nie można, i ci którzy silili się na to, spłodzili parodyę niewdzięczną dla serca i umysłu, a ci, co czytali tę parodyę, nie znaleźli ani prawdopodobieństwa, ani fotografii. Kraj, nakryty niebem eterycznem i przezroczystem, którego pogody wspaniałej i jasnej nic nie mąci przez ośm miesięcy w roku; którego słońce we dnie inaczej oświeca i ogrzewa, a gwiazdy inaczej jaśnieją w nocy, niż u nas, którego klimat, czyste i bogate tlenem powietrze podnoszą siły, zdrowie i życie, którego jasne i szafirowe morza inne są od mórz i oceanów północy; którego dobroczynne źródła, kaskady i rzeki, nierównie lepsze rozlewają wody; w którym mieszkają zawsze najpiękniejsze pory roku, i który nie zna uciążliwości zim naszych, ani mrozów, ani śniegów, utrzymując je tylko wiecznie na najwyższych szczytach Libanu; którego fantastycznej ziemi, tej rozkosznej ręką Stworzyciela wypieszczonej i najpiękniejszej kochanki wszystkich na świecie wdzięków i ideałów, z jej pasmami gór, skałami i stepami, ani poemata Petrarki wyśpiewać, ani pendzel Michała-Anioła odmalować by nie zdołały; którego płody przewyższają dobrocią i przymiotami płody innych części kuli ziemskiej, a nieskończoną rozmaitością zadziwiają; którego obfite, różnorodne, wyborne owoce, a rośliny i kwiaty ozdobne i wonne przez cały rok nęcą przyjemnie zmysły; którego zjawiska, gwiazdy spadające [1]) trzęsienia ziemi, fata morgana, miraże, trąby morskie zdumiewają; którego nagłe i zalewne deszcze inaczej niż u nas spadają [2]); którego krótkotrwałe, lecz wielkie burze i huragany, paląc powierzchnię nieskończonymi ogniami i wstrząsając nią siłą gromów i potęgą Eola, oczyszczają ją i pożyteczny wpływ wywierają na życie rozlane w przyrodzie; kraj, który wszystkimi głoskami, całym alfabetem swych dobroczynnych i najprzyjemniejszych źródeł życia, przyzywa uprzejmie nie tylko własnych obywateli, ale też przychodniów i cudzoziemców do używania tych znakomitych darów, w pośród cnotliwej i porządkowi publicznemu nie sprzeciwiającej się wolności, której nie zamąca nigdy ani szpieg, ani policya, której nie znieważa bezkarnie żaden ambitny robak; kraj, którego obywatele nie odznaczają się wprawdzie najwyższem ukształceniem umysłu, lecz posiadają rozsądek, czyste i skromne obyczaje; wreszcie kraj, który starożytnością, historyą i pomnikami przewyższa klasyczny Rzym i Grecyę, a rozpościerając się w pobliżu ziemi obiecanej i Ojczyzny pierwszego człowieka, wiele też do Raju musi być podobny. — Taki kraj zyskałem — utraciłem zaś skromniejszy

[1]) Corocznie w jednym z miesięcy jesiennych, jeżeli pamięć mnie nie zawodzi we Wrześniu, w ostatnich kilku nocach, dziwne przedstawia się tu zjawisko, mianowicie gwiazdy spadające, tak fenomen ten w zwykłej mowie niewłaściwie nazywają. U nas często widzimy to samo zjawisko na pojedyńczych gwiazdach — tu zaś w owej porze całe niebo jest w ruchu, ognie spadają jak deszcz i zdaje się, iż w empirejskich otchłaniach ani jedna gwiazda nie pozostanie, a jednak, gdy ruch ten się skończy, gwiazdy wszystkie są na swem miejscu, gdyż jak wiadomo, nie one to spadały.

[2]) Deszcze spadają tu nie kroplisto, jak u nas, lecz leją sznurami nieprzerwanymi tak, iż w jednej sekundzie deszcz taki przemoczy do nitki.

we wdziękach, ale kraj ojczysty, utraciłem społeczność, do której należę, utraciłem rodzinę, do której całem sercem tęsknię. Szan. pan zrozumie przeto, że obcy raj niczem jest w porównaniu z tym, jaki pragnę odzyskać — że dążę do prawdziwego szczęścia!

Janowski.

KRONIKA.

Radca lasowy p. G. Lettner przysłał nam wypracowany przez urzędnika c. k. Namiestnictwa p. Piątkowskiego wykaz ubitej w Galicyi w r. 1877 zwierzyny. Wykaz ten podaje cyfry z każdego starostwa. Byłoby rzeczą niezawodnie bardzo ciekawą dla naszych myśliwych, mieć przed oczyma zwierzostan z wszystkich okolic kraju naszego, oraz wnosić ztąd, która z nich większe lub mniejsze łowieckie wykazuje przyjemności i korzyści; wszelako mimo najlepszej z naszej strony woli, nie możemy w tej mierze przysłużyć się naszym czytelnikom, niepodobna nam bowiem umieszczać obszernego wykazu, któryby zajął przynajmniej połowę objętości numeru pisma naszego. Wykaz ów, przesłany do władz wyższych, znajdzie umieszczenie w statystycznym roczniku całej monarchii i sprostuje zapewne rażące błędy z r. 1876., któreśmy w 8. numerze „Łowca“ wykazali. Podamy więc tylko ogólne cyfry ubitej zwierzyny w r. 1877., a mianowicie:

Z pożytecznej zwierzyny: jeleni 17, danieli 8, sarn 2795, kozic 0, dzików 734, zajęcy 43.051, świstaków 0, głuszców 54, cietrzewi 622, jarząbków 1773, pardw 0, kuropatw kamionek 4, bażantów 100, kuropatw 8792, przepiórek 31.452, słonek 5875, bekasów 7744, dzikich gęsi 248, dzikich kaczek 10.200.

Z szkodliwej: niedźwiedzi 22, wilków 112, rysiów 4, lisów 4511, kun 437, tchórzów 490, wydr 144, dzikich kotów 53, borsuków 307, orłów 215, puhaczów 115, jastrzębi krogulców 3407, sów 810. W końcu notuje pan radca, że podana liczba przez starostwo w Limanowej pardw 40, jako nieprawdopodobna, będzie sprawdzona. Wykazy z lat 1876 i 1877 porównane z sobą najdosadniej świadczą, iż nasze zarzuty poczynione w nrze 8. wykazowi z r. 1876. były słuszne, cyfra bowiem ubitych kozic z 51 zeszła na 0, pardw z 380, na 0, kuropatw kamionek z 115 na 4.

Towarzystwo łow. wypłaciło dotąd premije za wybrane z gniazda wilczęta (po 5 złr od każdego) za 7 sztuk w Toporowie, — za jedną sztukę w Zastawiu, powiecie Rawskim — za 8 sztuk w Pasiecznie, powiecie Nadwórniańskim.

Jasło, 2. Sierpnia 1879.

Winienem uwiadomić Tow. łowieckie, iż starostwo Jasielskie nie strzeże ustawy, bo mnóstwo jaj kuropatwich wybrali chłopi, a na skargę nie ma wymiaru sprawiedliwości. Zające żywe bywają publicznie sprzedawane. Krzyków mamy tu bardzo wiele, ale dubelta ani jednego. Towarzystwo łow. straciło jednego z swych członków, umarł hr. Szczęsny Włodek, wielki miłośnik łowów i przyrody, a bardzo zacny człowiek. — Nie mamy tu delegata, do którego udać się powinien po premię pewien chłop, który wybrał wilczęta, a należy mu się nadgroda, bo to wierny stróż polowania.

J.

Sz. delegat Tow. łow. W. Gniewosz donosi, że włościanin z Chwałowa oskarżony został o łowienie dubeltów siecią, i że tego rodzaju kłusownictwo jest wielce rozszerzone i tylko surowemi karami poskromione być może.

P. T. Harnwolf, zarządzca lasów w Pasiecznie uwiadamia, iż w końcu Maja wybrano w rewirze Pasieczna, państwie Nadwórniańskiem 8 młodych wilcząt z gniazda, za które Rada pow. w Nadwórnie wypłaciła oznaczoną nadgrodę. Toż samo uczyniło Tow. łow.

Jako przestrogę dla zbyt gorących myśliwych, podajemy wypadek, przytoczony przez „Gazetę Nar.“ w nr. 194 t. r.

Ze Stanisławowa donoszą do „N. Fr. Presse“, że młody podporucznik stojącego tam batalionu strzelców, hr. Feliks Vetter v. d. Lilie udał się był przed kilku dniami ze znajomym swoim cywilnym na polowanie na kaczki w okolicy. Postrzeliwszy kaczkę, która wpadła w sitowie na bagnie, kazał ją wydobyć służącemu. Gdy zaś ten wstrzymał się na drodze, zapadając się w mokrzadłach, oficer rozgniewany rozebrał się, i mimo przestróg swego towarzysza zapuścił się dalej w wodę, i dostawszy kaczkę już z nią wracał, ale zaplątawszy się w sitowie i grzęznąc w błocie, nie mógł dójść do brzegu. Było to już późnym wieczorem, na razie nie można było znaleść pomocy, i dopiero nazajutrz dobyto zwłoki utopionego oficera.

Zbydniów 2. Września 1878.

Stan kuropatw jest u nas tego roku średni pomimo nienajgorszej zimy i suchej pogodnej wiosny, co się tyczy zaś przepiórek, to jest ich tak mało, iż można się spodziewać, że do dwóch lat zupełnie ich nie będzie, i tak na 243 kuropatw, które u mnie na polowaniu przed kilku dniami zabito, padło przepiórek tylko 14, chociaż wcale ich nie oszczędzaliśmy.

B. Horodyński.

Dworskie łowy. W okolicy Ischl, w rewirze Ebensee, polował następca tronu arcyksiążę Rudolf d. 22. Lipca t. r. na kozice. Wzięli udział w tych łowach król Sycylii Franciszek, ochmistrz w. kor. hr. Bombeles, general Latour, pułkownik Cordi i adjutant major Vlasits. Zabito 15 kozic i 2 jelenie, z których arcyksiążę sam położył 5 kozic i 1 jelenia.

Sport Zeituny.

Mimo znacznego postępu łowiectwa, dotąd jeszcze nie tylko u nas, ale nawet w krajach, w których łowiectwo jest umiejętnością, a ustawa łowiecka ściśle przestrzeganą — uchodzi borsuk najniesłuszniej za szkodnika, a w wykazach bywa umieszczony w rzędzie srogich drapieżników, jakimi niezawodnie są: wilki, rysie, niedźwiedzie, lisy, orzeł przedni i inne. Nie wątpimy, iż „Łowiec“ prędzej lub później zechce wziąć to wcale nieszkodliwe stworzenie w obronę, a nie zabraknie mu dowodów na to.

B.

Olejów d. 20. Września 1878.

Słonki już są we wszystkich lasach, jak mi donoszono. Czy to miejscowe, czy okoliczne, czy też nadleciała awangarda, zawsze jest obawa, że po tym pospiechu mróz nam zwarzy przyrodę.

Kaz. hr. Wodzicki.

W czasopiśmie francuzkiem „La chasse illustrée“ z r. 1876 opisuje niejaki pan P. zdarzenie, które w dziejach myśliwstwa do rzędu wyjątkowych słusznie zaliczyć można. W Listopadzie roku przeszłego, zaproponował mu pewien inżynier w Tulonie, aby z nim oraz z jednym nurkiem z profesyi, zrobił wycieczkę na podmorskie skały u wysp Hyerskich. Pan P. chętnie się zgodził, i wszyscy trzej, zaopatrzywszy się w nurkowe aparata Denayroupe'a, puścili się łodzią na oznaczone miejsce. Rzeczone aparata są zrobione z kauczuku, u kaptura są szklanne okienka, a rurki kauczukowe służą w części za przewody dla świeżego powietrza, w części za trąbki, bądź słuchowe, bądź głosowe, przez które się nurek porozumiewa z będącymi w łodzi towarzyszami; u nóg ma każdy ołowiane podeszwy, żeby się łatwiej na dnie morskiem mógł trzymać. Kiedy nasz sprawozdawca w hermetycznym swym aparacie spuścił się w morze, raptem zabębniło mu w uszach tak gwałtownie, że aż struchlał z przestrachu, sądząc, że to się woda do przyrządu jego wcisnęła; ale się uspokoił, pomiarkowawszy, że łoskot ten sprawiało powietrze, ciężarem jego ciała z wody wyparte. Co do wzroku, rozróżniał on wyraźnie otaczające go przedmioty, ale horyzont miał nadzwyczaj ograniczony — o kilka kroków odeń zaczynały się nieprzejrzane ciemności. Czucie jego znalazło się podobnież w stanie szczególnym: był prawie nieświadomym, czy miał pod nogami grunt stały, zdawało mu się, że zupełnie wagę utracił, ruszał się, jakby unoszony w obłoku, ślizgał się, pływał stojący. Lecz niech dalej sam opowiada: „Inżynier i nurek zbliżyli się do mnie pod wodą. Chcąc rozmawiać i naradzać się względem dalszych swych kroków, stykaliśmy się wzajem głowami, przy czem metal dosyć wyraźnie z jednego hełmu do drugiego dźwięk naszego głosu przenosił. Postanowiliśmy udać się na podwodne skały Hyerskie, na które mogliśmy się wgramolić przy pomocy swych aparatów. Zawołaliśmy więc przez trąbki głosowe na wioślarzy łódkę pędzących, aby w tamtę stronę płynęli i poszliśmy powoli, po mięciuchnem i równem dnie piaszczystem. Znajdowaliśmy się 18 metrów pod wodę, przez którą blask słoneczny do nas dochodził, najczystszą

barwą szmaragdową omgiony. Wkrótce ujrzeliśmy przed sobą skały, pokryte polipami, jak przepysznym kobiercem, a z ich szczelin strzelały morskie trawy i kwiaty, to zielone, to purpurowe, to żółte, to błękitne, jakich nigdy ani na ziemi, ani też w akwaryach nie spotykałem; algi, jak wężę w zieloną sieć splecione, rozścielały się nad naszemi głowami, deptaliśmy po prześlicznych muszlach różnobarwnych, a roje ryb, o kolorach, kształtach i rozmiarach najrozmaitszych, co chwila, już to ku nam podpływały ciekawie, już to jak zaklęte raptem znikały. Byłem zachwycony, oczarowany! — wędrowaliśmy tak blisko kwadrans, gdy nurek, który postępował przodem, stanął nagle i skinął, abyśmy się zatrzymali. Poczem zbliżył się do nas i zawołał: „Włócznik“. Na ten wyraz ciarki mnie przeszły. Siła bowiem i złość tego potworu dobrze jest znaną, a ten, który ku nam nadpływał był długi na dwa metry, oprócz włóczni, wynoszącej pewnie z połowę tego. W mgnieniu oka naradziwszy się dobyliśmy sztyletów, które wzięliśmy z sobą na tę wyprawę i stojąc w miejscu, czekaliśmy na wroga, gdyż ucieczka była już niepodobna. Konwulsyjnie ścisnąłem sztylet i rękę uzbrojoną położyłem na piersiach. Zrazu zdawało się nam, że potwór nas się lęka, waha i chce odpłynąć, lecz raptem się zatrzymał, utkwił w nas czarne oczy niewielkie, zgiął się w kabląk i skoczył. Zle wymierzył i tem się zgubił. Nurek nasz, poruszenia jego bacznie śledzący, umknął w bok, nim napastnik w niego ugodził, porwał go silną dłonią za włócznię, wymierzoną przeciwko sobie, i wbił mu sztylet w głowę. Krew trysnęła strumieniem, lecz woda ją w momencie spłukała. W ślad za tem poszło drugie i trzecie pchnięcie. Potwór przewracał się, kurczył, wyprężał i miotał na wsze strony odważnym nurkiem, który włóczni jego z ręki nie puszczał, gdyśmy także na nie wpadłszy, razili go sztyletami to w kark, to w brzuch, to w głowę, jednem słowem gdzieśmy tylko mogli. Siły ryby olbrzymiej z każdą chwilą słabły widocznie, aż wreszcie z rozpłatanem podbrzuszem na wznak się przewróciwszy, zwolna na powierzchnię wody wypłynęła. Nie życząc sobie wcale spotkać się raz jeszcze z taką przygodą, z której już może nie tak łatwo wyszlibyśmy ręką obronną, wróciliśmy zaraz do łodzi, gdzie swoje aparata złożywszy, wyciągnęliśmy osobliwszą zdobycz na pokład. Nie wiem, ażali jest jadalnem mięso włócznika, którego nasi ludzie poćwiertowali. Myśmy tylko zdjęli zeń skórę, a inżynier kazał ją wypchać i dotąd zachowuje w swojej pracowni na pamiątkę tej dziwnej walki w głębi morza.

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

PAŹDZIERNIK.

Łoś przybiera włos zimowy, kolor jego ciemno-brunatny zamienia się na jaśniejszy z szarym pomięszany. U samców mięso jest chude, później poprawia się, lecz nigdy nie jest tak tłuste i smaczne, jak od miesiąca Czerwca. Mięso samic nie odmienia smaku i w tej porze jest najwyborniejsze. Polowanie od połowy tego miesiąca zaczyna się odbywać. Jeleń. Młode bekają się. Lizawki dla jeleni po opadnięciu liścia odnowić trzeba. Sarny podobnie jak jelenie żywią się teraz owocem drzew dzikich, żołędzią i buczyną i zostają w dotychczasowych stanowiskach swoich. Dziki takież życie prowadzą. Zające zwidzają w polu kapustę, rzepę i koniczynę i tam przesiadują. Lis, kuna, tchórz i żbik wielką szkodę czynią w ptactwie dzikiem i zającach, szukają sobie siedlisk domowych. Kuna domowa i tchórz wracają do wsi. Jaźwiec czyli borsuk odwidza rzepę w polu, żywi się także jabłkami leśnemi. Głuszec, cietrzew i jarząbek żywią się pozostałemi jeszcze borówkami, szczególnie zaś jagodami jałowcowemi. Szukają siedlisk zimowych. Kuropatwy siedzą w warzywach w polu, gdzie rozmaite znajdują pożywienie, zbierają także na polach jarych pozostałe ziarna jęczmienia, a często nawet posiewy ozime opadają. Słonki i dzikie gołębie odlatują, a przepiórki i skowronki zgromadzają się do odlotu.

Utrzymywanie zwierzyny i polowanie. Lizawki należy, gdy liść opadnie, obejrzeć i odnowić. Od połowy miesiąca zaczyna się polowanie na dziki i obława na drapieżnego zwierza, także szczwanie lisów i zajęcy. Borsuka wypędza się psami z jamy i łowi się żywcem lub strzela przed jamą. Jarząbki wabi się i strzela. Z polowania na kuropatwy, dzikie kaczki i bekasy, i z łowienia w siatki ptaków teraz korzystać trzeba.

OGŁOSZENIA.

Wezwano nas do pośrednictwa w sprawie myśliwskiej, którego chętnie się podejmujemy, ogłaszając, iż pewien myśliwy posiada sukę rasy najczystszej angielskiej „Pointer“ niezwykłej piękności, jakoteż przymiotów, i że radby dochować się z tej wyżlicy potomstwa, które rozszerzone w kraju, dostarczyłoby myśliwym prawdziwej przyjemności i pożytku. Prosi zatem posiadacza psa tejże rasy, wypróbowanych przymiotów, by mu go na pewien czas wypożyczyć raczył. Za powierzonego mu psa ręczy, a za dozwolony użytek z niego obowiązuje się z właścicielem podzielić potomstwo. Bliższych szczegółów udziela Redakcya.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.